

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 23 LISTOPADA 1929 ROKU

NR. 47

TREŚĆ NUMERU: Kobieta a książka — *Herminja Naglerowa*. Książka, która przemówi — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Bajki”, „Romans”, „Pomarańcze i daktyle”, „Dolores — żona sprzedana” — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Wrogowie książek — *Z. Rabska*. Ziarna i plewy — *Zofja Miszewska*. Z książek. Książki nadesłane do Redakcji. Z teatrów — *S. P. O.* Koło studjów gospodarstwa domowego — *Marja Ankiemiczowa*. Kobieta w świecie i w domu. Dom angielski — *Stanisław Machniewicz*. Organizacja poradni gospodarczych miejskich i wiejskich — *M. K.* VII zjazd gospodyń wiejskich — *M. K.* Możliwości hodowli kwiatów — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Dessous — *Well*. Dodatek powieściowy: „Portret króla” (dok.) — *Carry Brachvogel* i „Opowiadanie głupiego Joana — *M. Kasterska*. Tablica kroju.

W związku z organizowanym w dniach od 23 do 30 listopada Tygodniem propagandy czytelnictwa pod hasłem: „Książka w życiu kobiety”, szereg artykułów w niniejszym numerze „Bluszczu” poświęcamy zagadnieniom czytelnictwa w Polsce i tej doniosłej roli, jaką kobieta odgrywała i odgrywa w dziedzinie propagandy książki.

KOBIETA A KSIĄŻKA

Upadek czytelnictwa u nas po wojnie wynika z kompleksu najrozmaitszych przyczyn, które, rozważane z osobna, są już same dla siebie zagadnieniami. Łączność tych przyczyn jest jednak tak oczywista, że poprawa losu książki może nastąpić dopiero wtedy, gdy wszystkie przeciwieństwa zostaną usunięte. I dlatego właśnie należy skrupulatnie badać wszystkie objawy zła, wykazywać ich najbardziej ukryte źródło.

Jeżeli bowiem w doszukiwaniu się przyczyn upadku czytelnictwa odrazu chwymano rzucające się w oczy powojenne przemiany w dziedzinie ekonomicznej, czy w zubożeniu inteligencji, to jednocześnie stale musiało się powracać do dobrze i przed wojną znanego refrenu o analfabetyzmie i o braku kulturalnych potrzeb wśród szerokich mas. To są, niewątpliwie, owe najbardziej jaskrawe i najistotniejsze „punkty schorzeń”, których leczeniem mogą zająć się jedynie specjaliści, resortowi fachowcy, władze państwowe.

Ale prócz tych zasadniczych przyczyn, istnieją przyczyny poniekąd pochodne, które nazwalibyśmy „moralnemi”. Społeczeństwo nasze odwyka bowiem od książki, ponieważ po wojnie t. zw. spr-

wy duchowe zidentyfikowano z — rozrywką. A rozrywek artystycznych i pseudoartystycznych namnożyło się tak wiele, że czytanie nie może wytrzymać konkurencji. Czytanie książki jest przecież pewnym wysiłkiem wyobraźni i, co najważniejsze — zużywa więcej czasu, niż np. oglądanie obrazu w kinoteatrze. A dziś właśnie, w epoce pracy i pośpiechu, czas stał się najdroższym, na pieniądze zwaloryzowanym czynnikiem. Nasze amerykanizujące się tempo życia jest więc może największym i najniebezpieczniejszym wrogiem książki.

Należy jednak stwierdzić, że także przed wojną pracująca inteligencja nie czytała. Mam tu na myśli mężczyzn, którzy, po skończeniu szkoły średniej, prawie nie wzbogacali już repertuaru swojej lektury. Na uniwersytecie rozpoczynał się bowiem okres fachowości, więc zainteresowania były tylko zawodowe, a choćby i wyłącznie naukowe. Potem, gdy nadchodził „wiek męski, wiek klęski”, mężczyzna nie miał już czasu i cierpliwości do czytania.

Odbiorcą, konsumentem książki była więc przede wszystkim — kobieta. Tak, młodzież obojga płci i kobieta. Ona to rozporządzała dostateczną

ilością czasu, nie pracując jeszcze zawodowo i zarobkowo, i książka była dla niej nie tylko „strawą duchową”, ale bodajże jedyną relacją o samem życiu. Do dworów, dworków, do nudą i pustką napełnionych mieszkań przychodziła książka, jako inna, nieznana rzeczywistość, wzbudzała niepokojem, odrywała myśl od powszedniej szarzyzny. Książka bywała więc wydarzeniem, bywała niekiedy transformacją pojęć i zapatrywań; czasem rewoltowała gnuśność codzienności, czasem stawiała się przyjacielsko dostrojonym tonem i jedynym porozumieniem ze sprawami dalekiego świata, do którego kobieta nie miała dostępu. Zapewne — książka była także potrzebna dla snobistycznych popisów towarzyskich, ale tak, czy owak — jej konieczność była uzasadniona wielorako.

Zaznaczyć tu również należy, że kobiety spełniały niejako rolę opiniodawczą: one lansowały książki, a salon był dyskusyjnym terenem dla nowych zjawisk literackich. Intuicja artystyczna tych inteligentnych — jak wówczas mówiono: „wszechstronnie odczytanych” — kobiet rozstrzygała o powodzeniu książki. Można by powiedzieć, że „świat książki” był światem kobiety, i stąd też ten szeroki horyzont ówczesnej kobiety, to wmyślenie się we wszelkie zagadnienia, to psychologiczne pogłębianie zjawisk życia. I kto wie, czy rewolucja, jaką było wyzwolenie się kobiety, nie miała w książce swojego pierwszego sojusznika i swojej pierwszej podniety. Bo zważmy tylko: te kobiety, napełnione ideałami i świadome swoich wartości duchowych, mogły już krytycznie ustosunkować się do warunków swojego życia, mogły porównywać i zestawiać, mogły się nawet wywyższać ponad jednostronną fachowość mężczyzn.

Wpływ książki na kobiety, niedoceniony jeszcze dotąd, był więc olbrzymi. Czytając, kobieta dostrzegła może poraz pierwszy, że nie jest wykształcona, że musi się uczyć. Jakiś cytat łaciński może wzbudził w niej ochotę do poznania w oryginale dzieł Horacego, a jakieś porównanie czy metafora wskazywała na nieznane zdobycze wiedzy przyrodniczej. Tak więc, nie sama tylko propaganda społeczna dokonywała zmian w dziedzinie emancypacji kobiet, ale czasem spełniały to niezauważone, drobne cierpienia ambicji. Głód wiedzy był bowiem pierwszym przejawem naszych emancypacyjnych dążeń, a potem dopiero rozszerzył się nasz program, obejmując już żądania równych praw i obowiązków.

Zetknęliśmy się tu z niedającym się wyczerpać tematem wpływu książki na wyzwolenie kobiety, z tą ogromną siłą, która pobudzała i podrywała, rozszerzała horyzonty i nową treścią napełniała życie. W wysnuwaniu wniosków z takiego założenia musimy jednak dojść do ważnego poznania istotnej wartości czytelnictwa i musimy zaprze-

czyć, jakoby czytanie książek było jedynie — rozrywką. Książka — mam tu oczywiście na myśli dobre książki — jest medjatorem między nami, a światem. Bylibyśmy zamknięci w ciasnym kółku najbliższych spraw, przeżuwalibyśmy te same, z maluczkich wydarzeń naszego życia wynikające pojęcia, gdyby nie zwiastowanie, które nam przynosi książka. Ich artyzm wyzwala z nas przecucia jakichś wieczystych prawd, ich forma przekształca nasz stosunek od niezmiennych form bytu, ich treść przerzuca nas w różnorakie odmiany istnienia, zespała z całością życia i różnicuje wewnętrznie.

Gdyśmy sobie jednak uprzytomnili to, rzecz można, metafizyczne znaczenie książki, przyjrzyjmy się dzisiejszej rzeczywistości. Dziś nie czytamy, dziś już nie czytają nawet kobiety. Tak się stało, że i one nie mają czasu, i one zasklepiły się w fachowości, albo w pracy zarobkowej. Narazie nie dostrzegają tego, że powoli obniża się ich poziom, że szczupleją ich wartości intelektualne i moralne. Zapelnili przecież swoje życie pracą, ambicjami, leciutkiemi rozrywkami, i gdzież tu jeszcze pomieścić tę godzinę czytania? Nibyto zetknęły się bezpośrednio z życiem i nie trzeba im już relacji książkowych! A tymczasem deformuje się ich wzrok, bo nie widzą już dalej swego nosa. Jednostajność zajęć, niezawsze przecież wzniosłych, stępia umysł dzisiejszej kobiety. W płytkiej wodzie brodzi przez życie, przestaje nawet znać siebie, bo tylko odmierza swój krok według miary swoich spraw. Nibyto wolna, zamknęła się przed sobą samą, a z ważnego dziania się okólnego chwytła tylko strzępki barwne i błyskotliwe. Doprawdy, ta nasza wolność dzisiejsza bywa czasami większą niewolą od naszej niewoli wczorajszej.

Ale dziś my same ponosimy winę, gdy tak pomniejszamy swój duchowy stan posiadania. I nad tem właśnie trzeba się wczas zastanowić, temu należy corychlej przeciwdziałać.

Pragnę tu jeszcze zwrócić uwagę na pewną jakgdyby złośliwość faktów. Oto dziś, gdy kobiety już nie czytają, rozwija się świetnie pisarstwo kobiet. U nas zwłaszcza coraz nowe talenty kobiece występują rewelacyjnie, wnosząc nowe tematy, obserwacje, formy do naszej literatury. Najczęściej odnosi się kobieca twórczość do spraw, niezauważonych przez pisarzy-mężczyzn. Piszące kobiety ujawniają nowe dziedziny naszego życia, pogłębiają psychologicznie samą kobietę, korygują szablony i dziwolagi psychologiczne, spotykane w utworach, które wyszły z pod pióra mężczyzn. To samopoznanie, które staje się niekiedy ważną zdobyczą dla wiedzy, niekiedy pogłębieniem własnego stosunku do wszelkich zjawisk świata, samopoznanie, które poniekąd rozwiązuje naszą przysłowiową zagadkowość, ma przecież szczególną wartość dla nas samych. Tylko bowiem w ten sposób potrafimy się

wyzwolić z form, narzuconych nam przez literaturę, tworzoną przez mężczyzn, gdy się przyjrzymy sobie w prawdomównym zwierciadle, gdy wyjaśnimy sobie swoje tajemnice.

Oscar Wilde dowodził, że świat rzeczywisty przybiera formy, narzucane mu przez artystów: więc, być może, że kobiety bywały tylko tworem artystów — były takie, jak je sobie wyobrażał trubadur, jak je idealizował Dante; bywały u nas romantyczne, według wzoru Mickiewiczowskiej Maryli, albo wreszcie stawały się zhisteryzowanymi demonami Przybyszewskiego. Natomiast nie były sobą, pozując się wedle gustu epoki, wedle artystycznego projektu mężczyzn. Było w tem coś nieszczerzego, jakieś skrzywienie moralne, które za-

pewne w nas pozostało. Współczesna literatura t. zw. kobieca może to zmienić na naszą korzyść, może nas wewnętrznie wyswobodzić z zakłamania.

Z tych różnych motywów, które zlekka dotknęłam w moim artykule, wybija się w rezultacie jeden główny motyw: **Kobiety powinny czytać!** Nie dla rozrywki, ale dla istotnej, moralnej wartości czytania, dla tych podniet duchowych, których im nie daje powszednie życie. Wzmoczone czytelnictwo kobiet może zresztą zmienić w znacznej mierze złą koniunkturę książki i beznadziejną dolę pisarza. Ale ta kwestja wykracza już poza ramy mojego artykułu, który tylko pośrednio wskazywał, że jedną z przyczyn upadku czytelnictwa jest dzisiejsza nieczytająca kobieta. *Herminja Naglerowa.*

M. H. SZPYRKÓWNA

KSIĄŻKA, KTÓRA PRZEMÓWI

Zanim nadszedł głos, który mówi żywym słowem, istniał inny. Niedosłyszalny, ale istotny, jak... prawie, jak głos sumienia. Który w godzinach naszej samotności czynił, że byliśmy w tłumie, na dalekim świecie, po nieznanych lądach i morzach, w samem osiedziu radości i dramatów, jakichbyśmy inaczej w swoim jednym życiu nie mogli nigdy doświadczyć. Czarownikiem, który rozszerzał i powielał nasze życie, włączając je do tętna wszechświata, był ów milczący głos, rozsiany po świecie czarnymi znaczkami, była — książka.

Czy nie dziwne jednakże jest napisać o książce, która przecież jeszcze jest, że... była?

A jednak, tak oto się odruchowo napisało, a odruchy są mądrością instynktu. Dlaczego? Czyż nie jest więcej? Czyż znikła, przestała się drukować, czy nie zapełnia nadal witryn sklepowych i ład ulicznych, skąd wędruje do ludzi, pod strzechy i pod sufity, zdobne w kunsztowne sztukaterje?

Zapewne. Jest. Widzimy ją nadal, ozdobnie oprawną (to rzadziej) lub krzykliwie wymalowaną na okładce sztucznymi kombinacjami efekciarskich barw, jak uczciwa kobieta, która robi kompromis ze sobą, skutkiem naporu warunków i zaczyna się malować na wzór kobiet innej kategorii, których wygląd może zyskać im popyt. Słaba taktyka! Przemycanie poważnej treści pod jaskrawymi i bijącymi na drastyczność okładkami, czy tytułami, zwykle demaskuje się dość szybko. I ten, kto liczył na lekką treść, a znalazł poważną, jest rozczarowany, nie będąc przekonany, a zwolennik poważnej lektury albo nie kupi takiej książki zasadniczo, albo zabierze się do niej z uprzedzeniem, bo będzie go raził brak harmonji między ze-

wnętrnością, a treścią. Jak wiele głosów już to zaznaczało i zaznacza, książka dziś wyszła kaptować przechodnia na ulicę — i poziom jej, w większości wypadków — nie mógł wobec tego pozostać przy dawnej skali.

Cóż zaszło?

Częściowo przynajmniej zaszło to, co zawsze zachodzi w czasach przewrotów. Ludzie także — wyszli na ulicę, ażeby lepiej śledzić bieg wypadków, jakimi tętni życie, codzien niosące inne sensacje. Ośrodek ciężkości przeniósł się z domowego ogniska — dziś opalanego drogim i brzydkim węglem z dużo mniejszą dawką poezji, niż za czasów kominowych, kiedy istotnie ogniskowało ludzi — do miejsc publicznych. Do kawiarni, do klubów sportowych i zawodowych, do restauracji, na dancing, a zwłaszcza do kina, tej ilustrowanej książki dla dzieci, gdzie tekstu zaledwie jest parę wierszy, a zato nadobfitość obrazków. Koncepcja książki obróciła się naodwrot: książka słowo i obraz kondensowała w nieme znaki, przenosząc ciężar ich odżywienia zpowrotem na wyobraźnię czytelnika; kino — wprost przeciwnie, wzięło na siebie tę pracę i, unikając wszelkiego wysiłku dla umysłu, pisze niejako obrazkami, jak w elementarzu, cudowne historie dla dorosłych dzieci, za leniwych dziś, aby chciało się im myśleć. Mało tego: gdzie było przedtem milczenie, obecnie zjawił się głos, aby widz miał i to jeszcze uzupełnienie. Radjo pozatem przyniesie widzowi ten głos do domu, nad jego biurko, czy nad jego łóżko, i uprzyjemni treść muzyką, śpiewem czy figlarnymi produkcjami. Uboga, szara książka, milcząca i niema, nie znajduje już żadnego pola dla walki: wyparły ją szczęśliwsze, bar-

dziej sprytnie, bardziej dzisiejsze i modne współzawodniczek. Leży jeszcze w witrynie sklepowej — lokalu dla niej przeznaczonym — dzięki moralnej ochronie lokatorów; ale życie w tych jej przybytkach nie bije pulsującym tętnem, po jakim pozna się rzeczy, które zdobywają. Przeciwnie: panuje tam szczątkami rozpędu coraz wolniejszy ruch, coraz skąpiej odwiedzających ją gości, jak u artysty, niegdyś sławnego, którego salon dziś liczy niewiele tylko wielbicieli: reszta przerzuciła się na nowe atrakcje. Książka, a zwłaszcza — książka wykwiwna, książka „przedwojenna“ z ducha i formy — umiera, mimo prób, aby sprostać nowoczesnym powojennym wymaganiom.

Jakiż będzie jej los wcześniej, czy później?

Mam wrażenie, że w tej formie, co dziś jest, nie przetrwa, jeżeli ma żyć dalej. A żyć przecież musi! A nie żyć przecież nie może, bo z nią umrze kultura wewnętrzna i łącznik duchowy pierwszorzędnej wagi, niedający się przez nic innego zastąpić, jak najbarwniejsze obrazki elementarza nie usuną konieczności, aby dziecko nauczyło się czytać. Przetrwać musi! Ale — jaka i jak?

Tu trzeba by wejść w dziedzinę fantazji. Ale cóż jest zbyt fantastyczne dla nas, którzy, rozmawiając przez telefon, widzimy, a patrząc na płótno, słyszymy? Niemożliwość stała się słowem wczorajszym: kwestją czasu i wypadku. Niemożliwość stała się tylko — możliwością dnia jutrzejszego, który obala „wczoraj“, aby po jego szkielecie wspiąć się o stopień, a czasem — o kilka, wyżej i podpatrzeć, co wymyśliło w tajnikach laboratoriów i warsztatów niesyte zdobyczy „jutro“, które już także podnosi stopę, aby mu stanąć na karku? Żyjemy w dniach oszalałego wyścigu wynalazków. I niewątpliwie, jak z małej kamery kodaku wylusknął się potężny ekran filmowy, który już śpiewa i mówi, tak z milczącej i skromnej książki wybuchnie dnia pewnego coś, czemu jeszcze nazwy dać nie umiemy, ale co sprawi, że karty jej ożyją barwą i dźwiękiem. Czytając, będziemy słyszeć, widzieć, a, kto wie — może i — odczuwać! Jeżeli istnieją transmisje dla wrażeń słuchowych i wzrokowych, dlaczego by nie miały się stworzyć takie, które potrafią przenieść na odbiorcę uczucia przygnębienia, radości, potęgi, czy rozpacz? Dzisiejsze próby z efektami świetlnymi na scenie i w plastyce, zmierzające właśnie ku skondensowaniu nastroju wewnętrznego z pomocą zewnętrznych oddziaływań, są pierwszymi próbami w tym kierunku. Jak każde raczkowanie, niewątpliwie wcześniej, czy później stanie to na mocne nogi. Kto wie, czy książka przyszłości — naturalnie, nie jutrzejszej, ale zapewne i niezbyt odległej — nie będzie zamiast papieru odbijana na blaszkach, „namówionych“ w odpowiedniej wytwórni i które za uruchomieniem przez prąd elektryczny, czy innym sposobem, zaczną nam nagle mówić

głosami i barwić się sylwetkami ludzi, o których dotąd pisała? Kto wie, czy nie stanie się zamiast wielkiego ekranu — małym aparacikiem, cud-skrzyneczką, dołączalną do kontaktu w prywatnym mieszkaniu, która wtedy ożyje zamkniętem w niej skondensowanym życiem, jednocześnie sycąc nasz wzrok, słuch i uczucie zapomocą prostej i w tej chwili już może wykluwającej się gdzieś w pracowni ubogiego studenta-elektrotechnika o Edisonowskim chwycie, maszynierji?

W każdym razie, książka nie może się nie przekształcić. Taki już jest dziwny bieg rzeczy na tej ziemi, że, wychodząc z pewnego założenia, wznoszą się coraz wyższymi kręgami, powtarzając się w pewnym punkcie przestrzeni i czasu, tylko w coraz to doskonalszej i zmienionej dlatego postaci. Pierwsze dźwięki były — pismem obrazkowym. I dziś zaczynamy do tego powracać. Na kamieniach starożytnych świątyń czytamy z obrazowego ich pisma dzieje dawno umarłych wieków — zgadując to, czego nie dopowiada rysunek. Dziś w kinie malujemy obrazkami przeżycia i dzieje naszej współczesności — ale o wieleż doskonalej! Dziś znaczki nagranych płyt ożywają znowu dźwiękami. Słowo, żywe niegdyś i niejako zabalsamowane w książce dla przetrwania, zaczyna zmartwychwstawać w kierunku odwrotnym, nabierając znowu ciała z barw, obrazów i dźwięków, jakie zeń pozdejmowano przed pogrzebaniem w książce. Słowo ożywa! I o ile książka chce żyć — a żyć musi! — będzie musiała niewątpliwie podążyć za tą ogólną ewolucją i w tajnikach nowoczesnej techniki poszukać tej sprężynki, za którą chwyciwszy, zaprze się mocno w swym sarkofagu z tektury, odrzuci malowane wieko okładki i zawoła nowym i potężnym głosem: Jestem!

Bo nie książka, jako taka, się przeżyła, tylko — jej forma zewnętrzna, która nas nuży już często niekompletnością osiągu, jak wóz konny nuży po zapoznaniu się z autem, jak auto — wydaje się mdłe i powolne po zażyciu śmigła samolotu. Na współczesne warunki, książka jest droga i monotonna, książka jest szacownym zbytkiem wobec przedmiotów pierwszej potrzeby, od których roi się dziś życie. I nie pomogą, lub mało pomogą wysiłki wydawców i autorów: będzie zawsze tylko ulepszeniem wydaniem wozu konnego w czasach automobilu i samolotu. Losy jutrzejszej książki nie spoczywają w ręku autora, ani wydawcy, tylko — w ręku wynalazcy, prostego następcy Gutenberga. Po śpiewanym filmie jest czas na świetlną i mówioną książkę, która zyska wówczas utraconą popularność nie siłą namowy, a siłą atrakcji. Ktokolwiek wynajdzie jutrzejszą formę książki filmodźwiękowej — a nie sądzę, aby dziś było to już zbyt trudne — zrobi fortunę sam i złoży cenny dar ludzkości.

Wynalazcy wszystkich krajów, łączcie się!

LUCYNA KRZEMIENIECKA

STROFY O KSIĄŻCE

BAJKI

*To nic, żeście mnie zostawiali zbiedzoną, samotną w pokoju,
to nic, że za oknem chodził i chodził jesienny żal.
„Kopciuszek“ codzień piękniejsze od wróżki dostawał stroje
i codzień złotą karocą jeździł do króla na bal.*

*To nic, żeście potem wracali ogromnie dorośli i dumni,
żeście mi coś tłumaczyli, zdziwieni, zmartwieni i źli.
Przecież do dziś jeszcze „Śnieżka“ powstaje ze szklanej trumny,
a tuzin pstrych krasnoludków w perły zamienia jej lzy.*

ROMANS

*Tyle jest drzwi tragicznych, w które nikt nie wchodzi,
tyle jest nas samotnych, postarzałych kobiet.
Jak dobrze, że choć w książce, w różanym ogrodzie
„on“ i „ona“ wciąż miłość przysięgają sobie.*

*Tyle wraca nas codzień z szczęśliwej ulicy
do sieni, beznadziejnie ogłuchłych i pustych.
Jak dobrze, że choć w książce na jakiejś stronicy
„on“ całuje jej młode, malinowe usta.*

POMARAŃCZE I DAKTYLE

*Kasjereczko cichutka,
do końca już żyć będziesz w biedzie.
Nigdy własnym jachtem
w poślubną podróż nie pojedziesz.
Ale dzień po dniu w wolnych chwilach
czytasz i oczy mrużysz.
Jak pachną mirt i daktyle
w cudownej, książkowej podróży!*

DOLORES — ŻONA SPRZEDANA

*O, straszliwe brukowe historie! o, tysiączne, poślkle kartki!
Codzień boją nad wami zmęczone życiem kucharki.
Sciskają dłonie, spocone tłustą, codzienną strumą,
w bezsile i przerażeniu twarz ocierają rękawem.
Kochają ciebie, Dolores, szlachetna, sprzedana żono.
Tak pragną, żeby już wróg twój na wieki w morzu utonął.
Wzdychają: — jakież to łobuz! tak, tak, to bym najchętniej —
i wreszcie z triumfem witają fotograficzne twoje szczęście.*



HERMINJA NAGLEROWA

29)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Pana dziedzica widziałam u Kowlerki, kazał powiedzieć, że dopiero późno w noc wróci i żeby panicz, jak zawsze, zrobił wypłat.

Stało się tak lekko, jak podczas niezawodnego brania przeszkody, a mimo to, trzeba się było mować z oszołomieniem. Potem już drobiazgowo obmyślił wszystko, choć i tak sprzyjały mu okoliczności. Nie trzeba będzie przecież zdawać dziś ojcu kasy, skoro wróci późno. Jeszcze tylko pójdzie do stajni, aby zamówić konie na jutro, skoro świt. Nikt się nie zdziwi, bo miał się właśnie spotkać z Jankiem w Jazłowcu. Tak gładziutko, jak na dobrze naoliwionych kółkach, potoczą się wydarzenia. I choć całą tą sprawą kierowała rozpacz, niby pijany woźnica, myślom ścieliło się powodzenie, jak bezpieczna droga.

Franek stał w oknie i patrzył w sad. Tak tu rozjaskrawiał się oczom swoją zielono-złotą życzliwością, ale powoli blaknął, jak za gęstym woalem. I serce rozszczepiło się na rozrzewnienie i na samo siebie skazujące okrucieństwo.

Do wieczora włókł się dzień, niby prawdziwy, ale wistocie samemu sobie zakłamanym. Bo jeszcze jakby tak wiele obchodziła pogoda, która się ustala, jeszcze można było myśleć o porządnej robocie, która się zacznie od poniedziałku. Jakieś znaczenie miało również to, że na folwarku pobrzękiwały narzędzia, a konie i bydło szło do studni. Zdawało się Frankowi, że musi tu pod nieobecność ojca wszędzie zajrzeć, a przy starym Hryciu, który w wozowni naprawiał pas do młockarni, powstał dobrą chwilę.

Gruba igła ćwierkała poprzez skórę, zwilżony szpagat grał, jak struna, a Hryć pomagał długim poświstem oddechu. Łysa czaszka chłopca przechylała się na chudej, cienkiej szyi, niby globus.

— Sześćdziesiąt lat tak szyję, bo niema tu innego rymarza, chyba w mieście.

Hryć miał ochotę do rozmowy, a raczej sam chciał mówić o sobie, swojej starości, która tak wiele pamięta i tak dużo z tego życia rozumem i doświadczeniem pojęła.

— Skóra i dziegieć zdrowe są dla dychania. Mam osiemdziesiąt lat i nie kaszlę. O, piersi mam, jak koń, tylko te nogi mi puchną. Bo nogi męczą się najpierwsze w człowieku — wiadomo, dźwigają ciężkie ciało. A potem męczą się ręce, jak się rękami pracuje. A dalej gubi się zęby, bo trzeba całe życie jeść — śmiał się nagiemi zębami. — Zato tak, jak u mnie — głowa nie zmęczona, swój rozum ma i nie

nie pomyli. Nie, nie pomyli, bo zna drogę prosto do śmierci. Nawet oczy można zamknąć, nawet przez sen dojdzie się. Jak nogi nad kolanem spuchną — to już będzie znak.

Franek patrzył na bosc stopy Hrycia, pokryte sinym liszajem, niby korą. Były sztywne, grube i wielkie, niby stopy olbrzyma, a czarne paznogie, jak gliniane skorupy, tkwiły głęboko w nabrzmiałych palcach. Te więc straszliwe stwory najpierw oddawały się śmierci? A potem te ręce, które opinały sztyld jeszcze z mocą i drapieżnością ptasiej łapy?

Widząc tę starość, tak bliską śmierci, Franek nie mógł uwierzyć w swoje ludzkie pokrewieństwo z tym człowiekiem. Nieprawdopodobna wydawała się taka przemiana, niepojęta sama śmierć. Wypręzał się i głębokim oddechem stwierdzał swoje młode zdrowie. Jakgdyby już sam oddech i sprężenie mięśni potrafiły podolać temu, co najgorsze.

Ale przy wypłacie zatraciło się to dobre samopoczucie. Głosy ludzkie zdawały się huczące, jak w pustej beczce, a własne ręce były, niby wystrugane z drzewa. Ktoś uczciwie się bronił:

— Zadużo mi panicz daje.

Ktoś się spierał, że go właśnie skrzywdził. Tak się tu dopominali o ścisłość rachunku, gdy jemu było wszystko jedno: więcej — mniej.

Obliczył jednak starannie kasę, czerwonymi linijkami popodkreślał sumy, aby ojciec wiedział, ile wydał, ile zostało. Sto złotych, okrągłe sto — wziął sobie. Nawet z namysłem dobierał banknoty i drobniaki, aby miał wygodę w podróży. Potem na kartce pięknie wykaligrafował: „Sto złotych biorę sobie na powrót do Warszawy“ i podpisał się imieniem i nazwiskiem. Zatkanawszy kartkę za opaskę jednej z paczek banknotów, zamknął kasę. Klucz włożył do kopy, zalakował i zostawił na biurku.

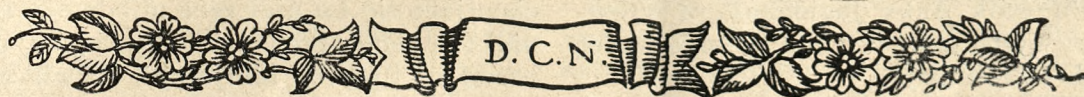
Był zadowolony z tej czystej roboty i nawet trochę się uśmiechał, że pękata portmonetka ciąży w kieszeni, a ręce niepotrzebnie się niepokoją, jakby to one właśnie były najbardziej winne temu, co się tu stało. I także koniecznie napierało się słowo, aby je głośno wypowiedzieć, choć na nic to nie było potrzebne: — U-kra-dłem! — Ani się nastraszył tego słowa, ani mu się nie wydawało tak złe.

Idąc do oficyn, usłyszał przez otwarte okno głosy Klimy i Halí. Musiał przytem pomyśleć: — Już was więcej nie usłyszę! — a oddalając się od dworu, pomyślał jeszcze, że będą tu sobie razem bez niego.

Ojciec, Hala, Klima, a choćby i ta ogrodnikowa, a choćby i ten Hryć będą tu, jak dotąd. Że będą światła w oknach, że szum sadu, szpalery, ścieżka — wszystko tu będzie bez niego. I na chwilę pojął, że

tak się właśnie odumiera, że taka jest pewnie śmierć. Ale nagle doleciał od drogi znajomy turkot bryczki i tęża uderzyły mocno. Zaczął biec — uciekał, jak przed pościgiem.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ



Z. RABSKA

WROGOWIE KSIĄŻEK

Wrogowie książek! Tem ironicznym mianem obdarzali bibliofile przez długi szereg wieków kobiety. Przypomnijmy sobie, z jaką pogardą mówi o nich w XVI wieku przez usta ksiąg jeden z najgorliwszych miłośników książek, biskup durhamski Ryszard de Bury w swoim „Philobiblonie“, spolszczonym przez Jana Kasprowicza:

„Zaledwie to zwierzę miłości szkodliwe i nieustępliwe odkryło kąt, w którym schroniłyśmy się jedynie pod opieką przędzy zmarłego pajaka, odrazu z gniewnem wyzywa nas czołem i najgwałtowniejszą spotwarza obelgą; oświadcza, żeśmy najbezpżyteczniejszym sprzętem domu i do wszelkiej służby domowej nieprzydatne, i zapowiada zaraz, że byłoby korzystniejszym na kosztowny zamienić nas czepiec, na jedwabne tkaniny, na barwione podwójnie sukno szkarłatne, na stroje, futra, wełnę, czy płótno“.

Nie życzliwiej odzywa się o kobiecie inny bibliofil, René Vallery Radot:

„Istnieje wróg niebezpieczniejszy, niż ogień, woda i gaz, trudniejszy do pokonania, wróg wszystkich dni i wszystkich godzin, myszkujący wszędzie, przygotowany do każdej walki i każdego podstępu: jest nim kobieta. Poza rzadkimi wyjątkami, kobiety są antibiblijofilkami. Książka nie ma dla nich większego znaczenia, niż gazeta. Próbuja na jej kartach, czy rurki do karbowania nie są zbyt gorące, rozcinają stronicę dłonią, lub szpilką do włosów, etc...“

A oto rada trzeciego manjaka ksiąg:

„Najlepszy mąż niech raczej odda żonie klucz do swej kasy, ale niech jej nigdy nie powierza klucza do biblioteki!“

Jak krzywdzące dla kobiet i jak niesprawiedliwe są te zdania, stwierdza rzeczywistość, stwierdzają fakty, w których kobieta występuje zawsze, jako rozumna i zapalona miłośniczka ksiąg. Rola kobiety w początkach piśmiennictwa w Polsce była bardzo znaczna. W XIII i XIV wieku, kobiety pol-

skie przekładały pierwsze dzieła treści religijnej z łaciny na mowę ojczystą, a jeśli wiele zabytków polskiej literatury w XV i XVI w. musimy odnieść do kobiet, dowodzi to, że w owych czasach więcej one, niż mężczyźni, interesowały się książkami. Istnieje pokaźny szereg książek z tego okresu, które powstanie swoje zawdzięczają kobietom, bądź dlatego, że zostały one niemi obdarowane, bądź dlatego, że, pewnych książek same potrzebując, lub rozumiejąc potrzebę ich dla społeczeństwa, były pośrednikami ich sprawczyniami.

Pierwszą miłośniczką książek w Polsce była królowa Jadwiga. Z podanego przez Długosza spisu książek, znajdujących się w posiadaniu królowej, dowiadujemy się, że miała ona bogatą bibliotekę, zasobną przeważnie w księgi kościelne. Czytała dużo sama, i była gorliwą opiekunką narodowej literatury, a znane jest z jej życia, że oddała kosztowności, aby móc założyć akademię krakowską. Za jej przyczyną zostało przełożone na język polski Pismo Święte. Za staraniem pań polskich przyjechał do Krakowa drukarz niemiecki, Wietor, i przywiózł czcionki polskie, a chcąc przez wdzięczność dla kobiet rozpocząć przedsiębiorstwo swoje dziełem takim, któreby się podobało płci pięknej, wydrukował w języku polskim „Rozmowy Salomona z Marchołem“, poświęcone Annie Kmitowej, z domu Górkównie. „Żywot Chrystusa“ przez Baltazara Opecia, przypisany Elżbiecie, ks. lignickiej, wyszedł pod opieką kobiet. Kroniki zaś XVI wieku notują znamienny fakt, który służyć może za dowód niezbity, jak gorącą miłośniczką ksiąg potrafi być kobieta. Oto w r. 1582 Anna Orłowa na kijowszczyźnie pozywa Stanisława Ossowskiego z Woniatyń o nieoddanie kilku pożyczonych mu książek i nietylko wymienia ich tytuły, ale w skardze, złożonej sądowi, określa wartość pieniężną każdej z nich.

Weźmy również pod uwagę cudowną, bogatą oprawę psalterzy i modlitewników średniowiecz-

nych, będących ozdobą wielu polskich księgozbiorów. Czyż nie zostały wykonane dla królowych polskich, z ich życzeniem wyraźnem, owe cenne okazy sztuki jubilerskiej np., jak srebrna oprawa modlitewnika ks. Anastazji, żony Bolesława Kędzierzawego, albo haftowany perłami na purpurowym aksamicie modlitewnik Anny Jagiellonki, a wreszcie oprawny w wytłaczaną w złote desenie skórę psalterz Marji Leszczyńskiej?

Chcąc zebrać i wymienić wszystkie dowody rzetelnego miłośnictwa ksiąg u kobiet polskich, przekroczylibyśmy ramy niniejszego artykułu. Wystarczy stwierdzić, że kobieta polska nie tylko kochała, ale rozumiała i ceniła książkę, że miała głęboką cześć tak dla jej duchowego, jak dla cielesnego piękna, to znaczy, że ją interesowała nie tylko jej treść — owoc ducha mędrców i poetów, ale i jej szata zewnętrzna, piękno, ucieleśnione w papierze, druku, oprawie i ozdobach stronic.

Długi szereg nazwisk kobiecych na polskich ex-librisach, znajdujących się w kolekcjach, świadczy o tem, iż już od XVI w. kobiety rozumiały potrzebę zakładania bibliotek i tworzyły, obok męzowskich, w dworach i pałacach biblioteki specjalne, złożone z dzieł religijnych, podróżniczych, poetyckich i t. p. Księgozbiory w Wilanowie, w Dziukowie, w Rogalinie, w Landwarowie, w Czerwonym Dworze, i t. p. zawdzięczają w znacznej mierze istnienie swe kobietom, a wspaniały księgozbiór, złożony niedawno przez obywatelkę lwowską — panią Dębcańską — na Wawelu, świadczy o obywatelskiej ofiarności kobiety polskiej, rozumiejącej, że dar książek jest najrozumniejszym darem, jaki można złożyć narodowi. Przez całe swoje życie zbierała książki treści naukowej Eliza Orzeszkowa, a po jej śmierci bogate jej księgozbiory zostały wcielone do biblioteki uniwersytetu wileńskiego.

Jak pożyteczną krzewicielką oświaty, promieniującej na naród zapomocą książki, może być kobieta, świadczy o tem praca na polu bibliotekarskiem. W bibliotekach publicznych i szkolnych, a także w mało zasobnych bibliotecznych wiejskich, ona to, polska bibliotekarka, składała w wyciągające się ku niej ręce młodzieży szkolnej, wieśniaków, robotników i dzieci książkę, umiejętnie dobraną na półce biblioteki, oświecającą umysły i rozgrzewającą serca. Kursa bibliotekarskie, założone przed paru laty w Warszawie, wykształciły już taką światłą, kulturalną, obeznaną z duchowymi potrzebami społeczeństwa bibliotekarkę, i coraz więcej kobiet garnie się do tej odpowiedniej pracy, w zrozumieniu poważnej roli, jaką mają w bibliotekarstwie do spełnienia.

Na polu pedagogicznem miłośnictwo ksiąg u kobiet położyło też znaczne zasługi. Najlepszymi ilustratorkami książek dziecięcych są dzisiaj kobiety. One to, zapomocą obrazków, skomponowanych ze zrozumieniem istoty dziecka, dostają się z łatwością do serc i dusz dziecięcych, one zdobią książki, starając się dorównać wzorom tego typu książek angielskich i skandynawskich.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o rozwijającym się od lat paru zamiłowaniu kobiet do introligatorstwa. Istnieje w tej chwili w Warszawie kilka poważnych warsztatów introligatorskich, prowadzonych przez kobiety, a oprawy, wychodzące z ich rąk, świadczą o doskonałym smaku i wielkiej wprawie, nabytej na Zachodzie.

Wypowiedzmy zatem wojnę biskupowi durhamskiemu i wszystkim manjakom, dyskredytującym kobietę, jako miłośniczkę ksiąg. Kobieta jest i była w ciągu długich stuleci rozumną, czujną, wrażliwą na piękno treści i formy, opiekunką, strażniczką i apostołką książki. Stwierdzają to fakty.

ZOFJA MISZEWSKA

ZIARNA I PLEWY

Obok wszelkich innych kryzysów, jakie przeżywa Polska ostatniej doby, istnieje jeszcze jeden, bardzo poważny: kryzys intelektualny.

Nie, żeby brakło głów otwartych, myślących, nawet genialnych, ale braknie właśnie widomych śladów tej myśli, tego geniuszu: chorujemy na brak poważnego drukowanego słowa.

Wystarczy wziąć do ręki którekolwiek z zagranicznych pism literackich, aby zadziwić się mnożstwem tytułów nowości wydawniczych, które właśnie wyszły dziś, wyjdą jutro, pojutrze, za tydzień,

a wszystkie przeważnie sygnowane wybitnymi nazwiskami.

A u nas? Nasze rzadziutko rozsiane (także kryzys) pisma literackie usiłują całą siłą oddechu rodmuchać najczęściej jakąś jedną, zapowiedzianą powieść, dopiero zapowiadającego się talentu, lub w najlepszym razie dzieło naukowe, którego ukazanie się jest rzadkim wypadkiem w naszych dziejach wydawniczych. Plakaty zajmują całą stronę, powtarzają się nieskończoną ilość razy, a mimo to zapowiadana książka, gdy się wreszcie ukaże, blak-

nie cichutko za szybą wystawy i przechodzi bez echa, choćby nawet była z tych rzadkich, podpisanych znanym nazwiskiem. A może właśnie te „rzadkie” rozchodzą się najmniej, bo — co czyta publiczność? Tem pytaniem dotykamy właśnie meritum sprawy: nasi Znani nie piszą, bo... nie mają dla kogo.

Talent lubi być czytany i podziwiany i... lubi dostawać odpowiednie honoraria autorskie. Bądźmy szczerzy i realni: twórczość literacka od businessu różni się bardzo mało, może tylko większą rozpiętością skrzydeł, bo kto wie, czy business skrzydeł nie posiada? A więc, jeśli interes interesem, to pocóż produkować towar zbędny? czyż dla tej garstki amatorów, którzy z gorącym entuzjazmem przyjmują każdą dobrą książkę? Wydawcy myślą właśnie, że nie warto, i dlatego tak mało nowych, wartościowych książek ukazuje się na półkach księgarskich.

No, a co myśli społeczeństwo? To jest właśnie najgorsze, że wogóle o tem nie myśli. Idzie po linii najmniejszego oporu, rozmieniając wielki banknot swego wolnego czasu na drobne bezmyślnych rozrywek, do których należy takie czytanie bezmyślnych książek. Bo jeżeli się nawet czyta, to coś, co czytania nie jest warte, coś, co się pożyczy od znajomych, a potem rzuci bez szacunku i sentymentu w kąt. Właśnie ten sentyment dla książki zaniknął zupełnie z chwilą, kiedy dobra książka straciła należne miejsce w naszym życiu. Jedno pokrywa się drugim, brak uczucia dla książki wywołał upadek smaku i odwrotnie. Jakże często spotyka się dziś domy, w których niema szafy na książki — co mówię!? niema książki wogóle, oprócz 365 obiadów, lub jakiejś jednej jedynej, samotnej książeczyny, podarowanej na imieniny pani domu przez nietaktowną kuzynkę.

Jeszcze parę lat takiej tępoty i kołtuńskiej oszczędności (bo właśnie oszczędza się przede wszystkim na książkach), a nasz rynek wydawniczy padnie zupełnie, nie mówiąc już o stanie umysłowości społeczeństwa.

Czas najwyższy podejść do tego zagadnienia z dwóch punktów: — kto winien i co zrobić należy.

Winowajcę trudno jest znaleźć, bo mężczyźni twierdzą, że winne są kobiety, kobiety zaś — że mężczyźni. W tym wypadku jednak można w zupełności przyznać rację mężczyznom, bo z dawien dawna książka była w pełnym zawiadywaniu kobiety.

Przypomnijmy sobie dawniejsze czasy, kiedy za panowania dławiącej rosyjskiej cenzury, po niektóre książki jechało się „zagranicę”, do Krakowa, bardzo a bardzo wiele nieraz stawiając na kartę. Wtedy modną była Orzeszkowa, szalało się za Prusem, wyrywano sobie każdy nowy tom Sienkiewicza, a postać Ewy Pobratymskiej wywołała wielką

burzę w sercach i umysłach. Dziś przeszła prawie bez echa jedyna w swoim rodzaju kobieta — Lenora — i zupełnie bez echa, jeszcze bardziej skomplikowana od Lenory — Meta Trapp. I nie tylko milczało społeczeństwo, ale nawet krytyka.

Zestawiając bogate intelektualnie „wczoraj” z biednym, bezmyślnym, rozdreptanym w kole nudnego dnia „dziś”, musimy uderzyć się w piersi, my, kobiety współczesne, i przyznać się do winy. Nie dla tego jednak, że wychowujemy dzieci, że możemy w nie różności „wpajać” i t. d... bo, pod tym kątem podchodząc, wszystkie winy możnaby zwać na kobietę, do prababek włącznie; ale my jesteśmy poniekąd regulatorkami dobrego smaku.

Przeciętny typ mężczyzny nigdy nie był zbyt żywo zespolejony z książką. Często, jako jedyną egzystencję drukowanego słowa, uważał gazetę, wszelkie inne trudy intelektualne pozostawiając kobiecie. Oczywiście, niesprawiedliwością byłoby twierdzić, że kobiety i tylko kobiety były podstawą poziomu czytelnictwa u nas, ale one dawały rozpęd, posyłając książki z rąk do rąk, z serca do serca. Mężczyzna, nawet taki „czytający”, nie miał poprostu czasu na przeczytanie sześciu marnych książek, dla odnalezienia siódmej dobrej. Tę siódmą od razu podsunęła mu kobieta i to była naprawdę zawsze rzecz wartościowa.

Wiem, że wszystkie kobiety od razu zawołają, że teraz one właśnie nie mają czasu, że pracują, że mają milion obowiązków i t. d. Ale na to można odpowiedzieć, że czytają jednak, **ale co?** Poprostu to, co wpada w rękę, bez wyboru, bez selekcji; mają zgrubiałe naskórek duchowy, przytępiony słuch i spalone poczucie piękna, lub choćby umiaru artystycznego. I tego naprawdę w żaden sposób wytłumaczyć sobie nie potrafię, że taka Zarzycka, Staśko i t. p. są dziś tak samo popularne, jak ongi Orzeszkowa lub Prus. Brzmi to niewiarogodnie, a jednak jest prawdą. Poprostu, już nie obniżenie poziomu, ale upadek „z pieca na łeb” haniebny i bezprzykładny.

I dlatego czytelnictwo nie jest poważne, że rynek księgarski jest zawałony powieściami bez sensu, bo w ogólnym pociągu do niekupowania książek, jeszcze takie tylko się kupuje. Wystarczy obejrzyć witryny księgarskie, aby mieć przed oczami oblicze narodu: maluje się na niem bezmyślność.

A przecież panuje teraz epoka przewartościowania nowych wartości, tworzenia nowych ludzi i nowych psychologij, dostosowanych do ducha czasu. Zagadnienia, nigdy przedtem nie pomyślane i w rozmaity sposób rozwiązywane, piętrzą się wprost przed oczami; powstała nowa powieść społeczna, bogata w wojenne doświadczenia, z odmiennym kątem patrzenia na walkę klas; powstała nowa powieść psychologiczna, w której szczególnie ciekawe ustalenie kobiety w innym, niż dotychczas, stosunku

do życia, wyjaśnia wiele zagadnień, dotąd nie poruszanych.

Doprawdy, odpowiedź na pytanie, co dziś czytują kobiety, jest ogromnie mało skomplikowana: czytują mało i głównie rzeczy bez wartości. Nie mogę jednak uwierzyć, aby kobiety, których intelekt w ostatnich czasach tak dalece poszedł naprzód, tak dalece stał się twórczym i pełnym inwencji, nie mogę uwierzyć, powtarzam, aby właśnie pod względem lektury wyjałowiał. To jest tylko lenistwo myśli. cofającej się przed trudem poszukiwania, a nawet przed trudem myślenia o poszukiwaniu. Dowodem tego jest również brak poczytności pism, wychodzących po za ramy codziennych gazet (nie mówię już o pismach i wydawnictwach naukowych, bo one przeważnie „umierają młodo“).

Choć, co prawda, nawet czytanie większości obecnych pism nie wieleby pomogło, gdyż nasza krytyka literacka nie jest ani dość poważna, ani dość zorganizowana aby mogła stać się informatorem czytelników.

A musimy się zgodzić na jedną niezbitą prawdę: że kobieta dzisiejsza, biorąc książkę do ręki, musi już wiedzieć, co ona jest warta, bo tak, jak dawniej mężczyzna, nie ma czasu na poszukiwania i natrafiania.

Do kobiety należy podniesienie poziomu czytelnictwa, przez rozbudzenie miłości do książki. A że kochać można tylko książki piękne, więc wymagamy, propagujemy i potępiamy, a wtedy piękna, polska książka znowu zajmie należne sobie miejsce.



Stanisław Hieronim Morstin: „Kłos panny” — powieść — Warszawa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka.

Rzecz, która stoi na pograniczu poezji i prozy, między studjum literacko-historycznym, a beletrystyką, ale powieścią nie jest. Wstawienie tej nazwy w tytule, powtórzenie jej na zielonej opasce, głoszącej: „Powieść o Koperniku” — wygląda na chrzest przymusowy, bez przekonania i, jako taki, bezwzględnie szkodzi utworowi.

Niewątpliwie Kopernik jest postacią, o której można napisać nie tylko powieść, ale i poemat. Jego sylwetka duchowa, zatarta przez czas i przez brak bliższych szczegółów biograficznych, otwiera szerokie pole wyobraźni twórczej, a epoka renesansu daje możność uwypuklenia genialnej indywidualności na tle głębokich perspektyw dziejowych.

A przede wszystkim oś tematu i najtwardszy, najtrudniejszy do zgryzienia jego rdzeń: genjusz Kopernika. Co za pokusa dla poety! jaka wyjątkowa okazja spróbowania własnych sił na takich wysokościach!

Morstin miał do rozporządzenia materiał wprost wyjątkowy. Czy umiał z niego skorzystać? I tak, i nie. Przeprowa-

dził Kopernika przez szereg momentów, które miały za zadanie jego duszę wszechstronnie przeświecić. W trzynastu rozdziałach, w trzynastu wyblakłych freskach rozwił, rozdrobnił, rozatomizował, odcieleśnił niejako mityczną postać Kopernika. Pokazał nam istotę cichą, mędrca, zatopionego w rozważaniach, uosobienie prawości, czystości i dobroci. Pół święty, pół filozof. Ale za mało w nim człowieka i za mało genjusza.

Morstin skradał się do niego z rozmaitych stron, ale nie chciał, czy nie umiał wziąć go od wewnątrz, wejść w niego, wcielić się weń, być z nim jedno. Może to przekraczało jego siły. To, co w całym duchowym organizmie Kopernika jest najciekawsze: komórka genjuszu — pozostała czarnym punkcikiem, niedotykana tajemnicą. Kopernik, zamiast się zbliżyć do nas, oddalił się na skrzydłach marzenia. Poprostu, zawiele w nim jest Morstina, za mało Kopernika.

Całość, jak gąbka, nasiąkła liryzmem, napróżno szukać w niej iskry prometejskiej. Bije z niej natomiast przyćmiony blask, jakby odległych konstelacji. To wyjątkowy wprost poziom duchowej kultury autora i wytworny kunszt pisarski czynią lekturę tej książki rozkoszem wytechnieniem wśród gwiazd.

Jan Newada: „Pomyłki Józefa Zbrowskiego” — powieść współczesna. Tow. wydawnicze „Rój” — 1929 r.

„Pomyłki Józefa Zbrowskiego” są właściwie pomyłkami Jana Newady. Błędy młodości, wybacalne u początkujących, a wynikające z nieopanowania i nieprzetrawienia materiału faktycznego i myślowego, jaki autorowi nasunęły bezwątpienia własne przeżycia. I jeszcze jedno: brak równowagi między dwiema płaszczyznami — płaszczyzną realizmu i marzenia, które krzyżują się pod kątem naiwnego, dziecięcego niemal kultu dla bohatera powieści.

Ucieleśnianie marzenia o sobie w postaci wymaginowanej, ten zasadniczy leitmotiv romantyzmu, jest drogą najprzymniejszą może dla natur narcyzowatych, ale i najbardziej śliską. Gdyż po tej równi pochyłej jakże łatwo zsunąć się w zapadnię pospolitości i szablonu, skąd już niema wyjścia.

Założeniem autora było dać sylwetkę człowieka silnego i szlachetnego, który na odpowiedzialnem i wybitnem stanowisku posła zagranicznego uderza się ciągle o ślepy mur obojętności, złej woli i tępoty rodaków. Mamy tu więc dwa niewspółmierne, a ustawicznie ścierające się ze sobą światy: jednostkę wybitną — środowisko gorzej, niż mierne. Wynik zgóry wiadomy: mrowisko zaleje śmiałka, który wycofa się z honorem i z patetycznym gestem w splendid isolation.

Cała ta historia, w którą wpleciono jeszcze dla okraszy romans Zbrowskiego z demoniczną lady Miriam, pozostawia czytelnika od początku do końca w stadjum całkowitej obojętności na losy bohatera. Autor nie umiał jego wielkości nadać znamion przekonywujących. Jego psychiczne nastawienie ulega zbyt częstym wahaniom. Kontrastowość efektów, zapomocą których pragnął jego sylwetkę wydobyć z tła, uwypukla jedynie niezaradność autora i jego nieobycie z elementarnymi zasadami rzemiosła.

Jałowe rezonerstwo dIALOGÓW nuży. Jest ono jeszcze jednym dowodem, że polityka staje się najbardziej mdłym preparatem, jeżeli ją rozwałkować na cienki plasterzek t. zw. dysputy. Historia szybko idzie naprzód i tematy, dziś jeszcze doprowadzające umysły do stanu wrzenia, szybko stygną i martwieją, o ile nie są przekuwane na gorąco w nieśmiertelny kształt artystyczny. Wszelkie fabrykowanie ściśle przystających do momentu odlewów pomnaża tylko archiwum publicystyki, — jest maską pośmiertną faktu, którego oczy i usta są na wieki zamknięte.

Zapomniał o tem w młodzieńczym zapale Jan Newada, odbierając swoim słowem przywilej wymowy. Nie wszystko, co się opowiada o rzeczach, dziejących się w czasie i przestrzeni, jest powieścią. Książka Jana Newady jest napisana, ale nie skomponowana.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ”.

- Jan Nevada: „Pomyłki Józefa Zbrowskiego”.
Karin Michaelis: „Gunhild”.
J. O. Curwood: „Dolina śmierci”.
J. O. Curwood: „Śród Mormonów” — autoryzowany przekład Jerzego Marlicza.
Jarosław Hasek: „Przygody dobrego wojaka Szwejka” — autoryzowany przekład z czeskiego P. Hulki - Laskowskiego.
Conan Doyle: „Przygody brygadiera Gerarda”.
Jerzy Szarecki: „Na pokładzie Lwowa”.
David Garnett: „Niezwyczajna historia o żonie, zamienionej w lisę” — przeł. Józef Brodzki.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

- Joseph Conrad: „Korsarz” — tłum. z angielskiego Jerzy Bohdan Rychliński. — Wyd. drugie.
St. Zaborowski: „W sercu kniei” — obrazy myśliwskie. — Wydanie drugie, powiększone.
Skander: „Okupione szczęście” — powieść współczesna (z życia miljarderów).

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”.

- Władimir Polakow (Augur): „Tragedja Romanowych” — powieść.
W. B. Maxwell: „Życie jest piękne” — powieść — przełożyła Lucyna Matysek-Majewska.
Edgar Wallace: „Gentleman - Bandyta”.
W. B. Maxwell: „Strzeżony płomień” — powieść.
Edgar Wallace: „Kameleon” — powieść.
Wojciech Ślawiński: „Poezje” — Berlin.

BIBLIOTEKA MEDYCKA.

- Maryla Wolska: „Dzbanek malin” — poezje.

BIBLIOTEKA GROSZOWA.

- Emilia Brontë: „Szatańska Miłość” — powieść — przekład Janiny Sujkowskiej.

POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY „SFINKS”.

- G. A. Borgese: „Rubè” — powieść — przekład Stelli Olgierd.
Pierre Benoit: „Pod znakiem centaury” — powieść — przekład Stelli Olgierd.

BIBLIOTEKA NARODOWA.

- Klementyna Tańska: „Dziennik Franciszki Krasińskiej”.
Bohdan Parolowicz: „Pionierzy” — powieść. Gebethner i Wolff (skład główny).
Edmund Zechenter: „Smok” — powieść ludowa — nakładem autora.



TEATR NARODOWY.

„Kres wędrówki” — sztuka w 3 aktach (6-ciu obrazach) R. C. Sheriffa. Przekład Florjana Sobieniewskiego, reżyserja Ordynskiego.

Jeszcze jeden Remarque, tym razem w angielskim poprawnym i nieco sentymentalnym wydaniu, opracowany na scenę. Dwie rzeczy są obecnie modne: pacyfizm i kobieta. Sheriff wybrał pacyfizm.

W okopach, w ziemiance na linii bojowej, rozgrywa się akcja, w której siłą rzeczy biorą udział sami mężczyźni. Jest to więc dramat bez kobiet; żywioł kobiecości nie został jednak z niego całkowicie wyeliminowany. Wizja kobiety, tej, która czeka na ukochanego, tej, dla której warto być bohaterem, aby stać się jej godnym — unosi się w dusznym powietrzu ziemianki, opromienia jej mroczne wnętrza blaskiem swego romantyzmu.

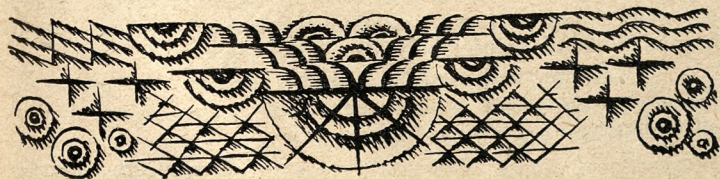
A zresztą ci wszyscy oficerowie bojowi ileż pod szorstkimi pozorami ukrywają tego, cośmy przywykli nazywać kobiecością! Prostu, brakuje im miękkiej dłoni matki, siostry, żony, czy kochanki i w pewnych momentach zdobywają się na odruchy zupełnie wzruszające, stwarzają sobie ekwiwalent macierzyństwa, którego tutaj w okopach są zupełnie pozbawieni. Takie np. sceny, kiedy Osborne otula kocami Stanhope'a, albo tenże Stanhope pielęgnuje śmiertelnie rannego młodszego kolegę, są to fragmenty tego typu i tak subtelnie pojętej tkliwości, jaką przywykliśmy spotykać raczej u kobiet.

Ale nie o to chodzi autorowi. Osią konfliktu psychologicznego tej ponurej opowieści wojennej jest zagadnienie bohaterstwa. Zagadnienie to stawia autor na ostrzu noża: jego bohaterowie, zresztą w większości doskonali oficerowie frontowi, wszyscy doznają uczucia strachu, boją się, nie jak dzieci ciemnego pokoju, ale jak ludzie dorośli, świadomi istotnych niebezpieczeństw, które im grożą; liczą godziny, które mają jeszcze przeżyć w okopach, oczekują ataku nieprzyjacielskiego z poczuciem wewnętrznej grozy, ze wstrętem wstępują na stopnie okopów.

Różnica polega tylko na zachowaniu się: jedni zapijają strach wódką, inni maskują go dobrym humorem, jeszcze inni nie mogą opanować nerwów i dostają ataków histerycznej paniki, — ale boją się wszyscy, nawet najdzielniejsi, pozornie najbardziej nieustraszeni. Nie boi się tylko młodzieńki oficer, który prosto ze szkoły przyszedł do okopów i rwie się junacko do wojenki; nie boi się, bo jeszcze niczego nie wie.

I tutaj szukać należy rozwiązania kompleksu bohaterstwa i odwagi. Mylnem jest mniemanie, jakoby odważnym był tylko ten, który się nie boi. Odwaga prawdziwa polega na tym, żeby przełamać uczucie strachu, każdemu człowiekowi wrodzone, i iść tak, jakby się nie bało, na śmierć lub zwycięstwo. Tylko ludzie, nie mający poczucia niebezpieczeństwa, nie doznają uczucia strachu. Ale człowiek, który nie ma poczucia niebezpieczeństwa, nie ma zazwyczaj i poczucia rzeczywistości, a wówczas przedstawia wartość tylko „mięsa dla armat”, nie zaś świadomego materiału bojowego.

Rozważania Sheriffa na temat strachu, i odwagi są właściwie błędnym kołem, z którego niema wyjścia. Konflikt jest niejako zawieszony w próżni; musi go rozsadzić wewnętrzne ciśnienie. Ale zanim to nastąpi, trzyma się widza pod tem ciśnieniem przez trzy długie akty (sześć obrazów), z których pierwszy szczególnie jest i rozwlekły, i monotony.



W miarę zbliżania się ataku nieprzyjacielskiego napięcie nerwów wzrasta, ale akcja stoi ciągle na martwym punkcie: jest to przecież jedynie walka z niewiadomem, gra w ciuciulabkę ze szrapnelami, która musi skończyć się katastrofą. Bo psychika ludzi Sheriffa jest psychiką skazańców. Ci ludzie umieją umierać, jak bohaterowie, ale nie umieją zwyciężać. Wojna jest im wstrętna i niepotrzebna, wojna ich nie obchodzi. Jeżeli nie uciekają z placu, to tylko dlatego, że są „ludźmi przyzwoitymi“, gentlemanami.

I tutaj odrazu rzuca się w oczy, jak odmiennym był stosunek nas, polaków, do wojny. Biliśmy się przecież z początku w armjach obcych, ale każdemu z nas przyświecała myśl, że bije się za Polskę. Dla Niemca, dla Anglika wojna była tylko strasznym dopustem bożym, żywiołową klęską — dla nas była wybawieniem. Tamtym ludziom ewentualność własnej śmierci czy kalectwa przesłania wszystko, okop jest dla ich psychiki pułapką bez wyjścia: polak nawet w okopach miał szeroko otwarty horyzont myślowy, i kto wie, czy właśnie ta słowiańska wyobraźnia, ta zdolność do marzeń, to, co nasi przodkowie nazywali „rycerską fantazją“ — czy to właśnie nie stanowi o naszej indywidualnej wyższości bojowej nad materialem germańskim i anglosaskim. Przecież i my mamy inwalidów wielkiej wojny, wojny bolszewickiej, obrony Lwowa i t. d.; ale trzeba posłuchać, jak ci ludzie opowiadają o wojnie, trzeba zapytać, czy który z nich żałuje, że był tam, w ogniu — aby zrozumieć, jaka przepaść dzieli zawodowego cywila od urodzonego wojaka.

Sztuka Sheriffa jest ze wszech miar ciekawym dokumentem antiwojennego nastawienia, tem ciekawszym, że operuje subtelными efektami psychologicznymi. Dzięki temu z jednej strony może mieć pierwszorzędne znaczenie propagandowe w akcji pacyfistycznej, z drugiej — zniewala kulturalnego widza niezwykle podejściem do tematu, wykintną w swej niesłychanej prostocie robotą artystyczną.

Koronkowość tej roboty uwytkła świetna gra artystów: Węgrzyna, Szymańskiego, Warneckiego, Orwida i innych. Mocno hamowane tempo dialogu może zbyt jaskrawo podkreśliło angielską flegmę, ale doskonale wytrzymało „styl“ okopowy, gdzie właściwie całe życie polega na czekaniu. Huraganowy ogień i zawalenie się ziemianki w ostatniej odsłonie dobrze było obliczone na wrażliwość „cywilów“.

S. P. O.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Z powodów od Zarządu niezależnych, w powakacyjnym roku bieżącym Koło Studjów Gospodarstwa Domowego o cały miesiąc opóźniło swą działalność. W dniu 4-tym października t. b., jako w pierwszy piątek po pierwszym, wznowiło Koło swe czynności na zebraniu plenarnem, które odbyło się, jak zwykle, w lokalu Ziemianek przy ulicy Marszałkowskiej 149.

Zebranie było wyjątkowo liczne, ze względu na obecność delegatów ziemianek, które w dniu tym również odbywały swe kwartalne zebranie.

Z niezmiernie ciekawym referatem wystąpiła p. Marja Chmieleńska, kierowniczka sekcji mieszkaniowej, która w lipcu t. b. uczestniczyła, jako przedstawicielka Koła S. G. D., na kongresie naukowej organizacji pracy w Paryżu. W sprawozdaniu swem z kongresu streszcza p. Chmieleńska tam najogólniejszych zarysach szereg referatów, wygłoszonych tam przez przedstawicielki różnych narodowości, a mianowicie:

1. Pani Bernège (Francja): „O wartości pracy kobiecej w domu“.

2. Pani Diez Gasca (Włochy): „O zrównaniu pracy kobiecej w domu z pracą mężczyzny poza domem“.

3. Pani Fischer (Ameryka): „O ułatwieniu pracy domowej“.

4. Pani Hildegarda Margis (Niemcy): „O konieczności rozróżniania rozmaitych typów gospodarstwa i o stosowaniu domowem“.

5. Pani Kuczsner-Gerhard (Niemcy): „O konieczności racjonalizacji pracy w gospodarstwie wiejskiem“.

6. Pani Van Waveren (Holandia): „O utworzeniu poradni w sprawach gospodarstwa domowego“.

7. Pani Uczes (Francja): „O powstaniu kurzu i o sposobach walki z nim, oraz o racjonalnem sprzątanii“.

8. Pani Zdanowska (Polska): „Jak należy ścierać kurz z powierzchni pionowych i poziomych“.

9. Pani Auslaender (Austria): „O konieczności racjonalnego odżywiania“.

10. Pani Corbusier (Francja): „W jaki sposób dać jak najwygodniejsze warunki mieszkańcom, oraz jak osiągnąć najniższą cenę budowy“.

11. Pani Liska (Czechy): „O czyszczeniu mechanicznem ulic i oczyszczaniu ze śniegu, oraz wywożeniu śmieci“.

12. Pani Gaudillon (Francja): „O usuwaniu odpadków przez kanalizację“.

13. Pani Dautrem (Ameryka): „O wartości czasu“.

14. Pani Gerink (Belgia): „O stosowaniu chronometrów w szkołach“.

15. Pani Edwards (Ameryka): „O konieczności stosowania standaryzacji w przemyśle“.

Pozatem prelegentka podaje do wiadomości szereg szczegółów, dotyczących trudności prowadzenia gospodarstwa domowego we Francji, a jednocześnie podkreśla z uznaniem wartość produktów, w szczególności jarzyn i owoców.

Niezmiernie rozwinięta jest we Francji produkcja pieczarek, do której p. Chmieleńska zachęca i u nas, obiecując służyć wszelkimi informacjami. Na zakończenie mówiła prelegentka o odezwie, jaką przywiozła z Francji, wystosowaną do kobiet francuskich z wezwaniem do masowego zapisywania się do ligi gospodyń.

Pani Irena Szumłakowska dała sprawozdania ze zwiedzanych podczas kongresu w Paryżu różnych instytucji oraz budowli wzorowych, jak np. wzorowo urządzonego domu akademickiego („Foyer de jeunes étudiants“) nie tylko pod względem urządzeń gospodarskich i stołowni, ale również higieny i moralności.

Pozatem podkreśliła bardzo rozwiniętą i dobrze zrozumiałą propagandę ze strony elektrowni i gazowni paryskich, które w specjalnie na ten cel urządzonych lokalach organizują bezpłatne paromiesięczne kursy kucharskie, prowadzone przez siły fachowe.

W szeregu sprawozdań z poszczególnych sekcji na specjalną uwagę zasługuje wiadomość, podana przez kierowniczkę komisji wystawowej, niżej podpisaną, iż kredens kuchenny, wystawiony przez Koło w pawilonie ziemianek na P. W. K., nagrodzony został medalem srebrnym.

Ogólny koszt wystawy wynosi 1.400 zł., przyczem Koło poniosło stratę przez zaginięcie jednej skrzyni z eksponatami przeznaczonemi do pawilonu pracy kobiet, na sumę przeszło 200 złotych.

P. Michalina Ulanicka zaznacza, że zadaniem działalności sekcji jest w pierwszym rzędzie wpływ na podniesienie poziomu obecnej służby.

Szereg drobnych przyrządów, udogodniających codzienną czynność gospodarczą, zademonstrowany na zakończenie zebrania, dopełnił całości porządku dziennego.

Uwagę zwróciły bardzo dogodne szczytce do brania węgla, oraz krążek tak zwany „cannabin“, ochraniający imbryk od tworzącego się w nim osadu z wody.

Marja Ankiemiczowa.

Kobieta w świecie i w domu

ODZNACZENIE ZASŁUŻONYCH POLEK.

Z okazji 11-ej rocznicy niepodległości, Rada Ministrów przedstawiła p. Prezydentowi Rzeczypospolitej wnioski licznych odznaczeń orderu „Polonia Restituta”. Na liście tej figurują nazwiska pięciu kobiet: zasłużonej nauczycielki, Józefy Gebethnerówny; nestorki dziennikarek polskich, Bronisławy Neufeldówny; dziennikarki i publicystki wileńskiej, Heleny Romer-Ochenkowskiej; artystki-malarki, Zofji Stankiewiczówny; artystki dramatycznej, Romany Popiel-Święckiej i literatki, autorki licznych dzieł dla młodzieży, Zofji Urbanowskiej (krzyże oficerskie IV klasy).

KIEDY POWSTANIE FEDERACJA POLSKICH SĄDOWNICZEK?

Pierwsza w Polsce kobieta-sędzia, p. Wanda Grabińska, wybrana została na członka zarządu Międzynarodowej Federacji adwokatów.

„MŁODE ZIEMIANKI”.

Powstały w roku 1918, jako „Koło Młodych Ziemianek” przy Stowarzyszeniu Zjednoczonych Ziemianek, a miały na celu zgrupowanie sił młodych dla wyrobienia ich i przygotowania do przyszłych zadań obywatelskich. Wspólna praca społeczna i samokształceniowa była głównym środkiem do osiągnięcia tego celu; stąd odrazu zarysowały się dwa kierunki działalności Młodych Ziemianek: dążenie do podniesienia kulturalnego i gospodarczego wsi polskiej przez pracę w Stowarzyszeniach Młodzieży, urządzenie wraz z Macierzą Polską kursów społecznych dla nauczycielstwa szkół powszechnych, organizowanie 6-cio tygodniowych kursów szycia i gotowania dla dziewcząt wiejskich, pomoc Stow. Zjednoczonych Ziemianek w prowadzeniu szkoły dla instruktorek wiejskich szwalni społecznych i t. d. oraz kursy i tygodnie społeczne dla młodych ziemianek, zjazdy, referaty, praca indywidualna nad zdobyciem możliwie dużego wykształcenia fachowego i gospodarczego.

Niezbyt liczna początkowo grupa młodych, skupiających się przy Stow. Zjednoczonych Ziemianek w Warszawie, rozszerzyła się w niedługim stosunkowo czasie na całą Polskę. Powstały Koła Lwowskie, Wielkopolskie, Krakowskie, nie licząc wielu innych, a jednocześnie wysunęło się zagadnienie zespolenia ścisłego tych Kół, dla uniknięcia rozbicia na poszczególne dzielnice.

Należało stworzyć jedno Stowarzyszenie Młodych Ziemianek, obejmujące cały kraj, i tak się też stało. Statut, jednoczący wszystkie młode ziemianki, został zatwierdzony w 1926 r. Oczywiście, nie zmienia to w niczem współpracy Młodych Ziemianek ze Stowarzyszeniami Ziemianek.

Dn. 6, 7 i 8 grudnia odbędzie się Walny Zjazd Stow. Młodych Ziemianek w Warszawie, poprzedzony 4-ro dniowym kursem dla zarządów kół i osób, zainteresowanych tą pracą.

POLKI NA TERENIE MIĘDZYNARODOWYM.

Nakładem Tow. Wyd. „Polska Zjednoczona” ukazała się broszura, opracowana przez p. Jana Belcikowskiego: „Polskie Kobiety Stowarzyszenia i Związki Współpracy Międzynarodowej Kobiet”. Jest to pierwszy tom, obejmujący, jak to zana-

czono w tytule, jedynie stowarzyszenia, biorące udział w federacjach międzynarodowych. Są to: Rada Narodowa Polek (uczestniczka Międzynarodowej Rady Kobiet), Klub Polityczny kobiet postępowych, Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności (uczestniczka Międzynarodowej Ligi, tej samej nazwy), Mała Ententa Kobiet (Bułgarja, Czechosłowacja, Grecja, Jugosławia, Polska, Rumunja), Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet (członek Międzynarodowego Związku Praw Wyborczych i Pracy Obyw. Kob.), Katolicki Związek Polek (uczestniczący w Międzynarodowej Unji Kat. Związków Kobiety), Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet (należąca do Międzynarodowej Federacji Ogólnej Wykształcenia Gospodarczego), Chrześcijańskie Tow. Ochrony Kobiet (członek Międzynar. Tow. Ochrony Kobiet), Polskie Stow. Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem (członek Międzynarodowej Federacji tej nazwy).

Historja powstania, rozwoju i prac każdego ze stowarzyszeń, program jego działalności, ustawy, instytucje, przezeń założone, i t. p. zostały treściwie i dokładnie przedstawione; ponadto autor uwzględnił również obszernie wszelkie Związki centralne, których stowarzyszenia nasze są członkami, a więc Radę Narodową Kobiet, Związek Praw wyborczych, i t. p.

Jest to bardzo cenny przyczynek do rozwoju działalności stowarzyszeń i poszczególnych, wybitnych jednostek kobiecych, z zakresu pracy społecznej. Każdy człowiek interesujący się tym ruchem, powinien zapoznać się z tą książką, zawierającą bogaty, poraz pierwszy zebrany w jedną całość, materiał informacyjny.

KIERMASZ GWIAZDKOWY.

W drugiej połowie grudnia rozpocznie się zorganizowany przez Ligę Samowystarczalności Gospodarczej wielki kiermasz gwiazdkowy, w salach warszawskiej Rady Miejskiej, pod hasłem: „W okresie przedświątecznym kupuj tylko wyroby krajowe”. Kiermasz urozmaicony będzie szeregiem atrakcyj. W czasie trwania kiermaszu rozdane zostaną nagrody honorowe i dyplomy firmom, nagrodzonym na konkursie Wystaw Sklepowych, zorganizowanym przez Ligę Samowystarczalności Gospodarczej w czasie Tygodnia Propagandowego.

AKADEMICY, TAK, AKADEMICZKI, BROŃ BOŻE!

Francja, która nie idzie na czele krajów, uznających równe prawa płci, wykluczyła też bezwzględnie kobiety ze swej najpoważniejszej instytucji naukowej: Akademii francuskiej. Zasłużone, uczone i... ciężkie to ciało nosi ogólną nazwę „Instytutu”; składa się nań pięć oddzielnych akademii: Akademia francuska, akademia literatury, akademia nauk moralnych i politycznych (filozofja, historia, prawo), akademia nauk (fizyka, chemia, matematyka) i akademia sztuk pięknych.

Liczba członków każdej akademii wynosi 40, z wyjątkiem akademii nauk, liczącej 66. W razie śmierci jednego z akademików, pozostałe grono wybiera nowego członka.

Przez jakiś czas akademia sztuk pięknych dopuszczała wybór kobiet. Pierwszą członkinią została już w r. 1665 malarzka, Katarzyna Duchemin; później, w ciągu 120 lat, było ich jeszcze czternaście, wśród nich artystki tej miary, co Rosalba Carriera i pani Vigée Lebrun. Wybór kobiet możliwy był dlatego, że statut tej akademii określał, iż przyjmować można „osoby”, „artistes” (w języku francuskim w wyrazie tym nie uwidoczni się rodzaj). W statutach zaś pozostałych czterech akademii powiedziano wyraźnie, że przyjmują one francuzów, francuzki więc zostały wykluczone.

Ten stan rzeczy trwał do Rewolucji, która, aczkolwiek propagowała prawa „człowieka”, zreformowała statut akademii, zaznaczając wyraźnie, że przyjmować one mogą „członków — akademików”. Od tego czasu wrota wszystkich pięciu akademii zostały dla kobiet bezapelacyjnie zamknięte. Żadna z nich nie mogła już zostać „nieśmiertelną”.

Z tą nieśmiertelnością, czyli wielką i wieczną sławą, różnie to tam bywa. Są między akademikami istotnie wielcy pisarze, uczeni i artyści, których nazwiska zna cały świat, ale są też i ludzie bardzo mało znani szerszemu ogółowi. W Paryżu opowiadają sobie anegdotkę, że ucziwy bourgeois zaczyna w niedzielę, po obiedzie, liczyć „nieśmiertelnych” i, przypominawszy sobie ważniejszych, zasypia, nie dochodząc do połowy.

Zato ogromna ilość wszechświatowych sław do akademii nie należy. W r. 1911 uczyniono wyłom, stawiając kandydaturę p. Curie-Skłodowskiej, zyskała ona jednak tylko 28 głosów, większość wybrała fizyka Branly, uczzonego wielkiej sławy i powagi, który jednak... radu nie wynalazł.

Obecnie w akademii nauk moralnych i politycznych odbył się odczyt kobiety, księżny de la Rochefoucauld. Z tej racji pisma kobiece francuskie przypuszczają, że może Instytut, który zgodził się wysłuchać prelegentki, *stojącej* przed audytorem, zdecyduje się nareszcie ofiarować jej miejsce... siedzące, fotel akademicki.

Inne organizacje są trochę liberalniejsze: literacka akademja Goncourtów przyjmuje kobiety, stawiana jest tam obecnie kandydatura znakomitej powieściopisarki, Colette.

WICEPRZEWODNICZĄCA RADYKAŁÓW FRANCUSKICH.

Jak już pisaliśmy na tem miejscu, wielki Kongres radykałów francuskich, odbyty w Reims, uchwalił włączyć do swego programu żądanie politycznego równouprawnienia kobiet. Dla wyraźnego zadokumentowania swego stanowiska, stronnictwo wybrało na wiceprzewodniczącą kobietę, panią Zuzannę Schreiber. Jest to, po p. Lawrence, druga niewiasta, zasiadająca w zarządzie wielkiej partii politycznej.



P. Zuzanna Schreiber, wiceprzewodnicząca stronnictwa radykałów francuskich.

OJCOWIE TEŻ CHCĄ MIEĆ SWÓJ DZIEŃ.

Ciekawy projekt powstał obecnie w Austrii. Oto, aby do „dnia matki” dołączyć też „dzień ojca”. Propagatorem tej idei jest radca Edmund Löffler. Twierdzi on, że miłość ojcowska, aczkolwiek mniej się może uzewnętrzniać, jest równie silna i także zasługuje na uczczenie, choćby w myśl przykazania: czcij ojca twego i matkę swoją.



P. Anna de Montet - Burckhardt — przewodnicząca Związku Szwajcarskich Stowarzyszeń Kobiety.

ANGLICY ŻĄDAJĄ NAUCZYCIELEK-MATEK.

Na dorocznym zjeździe nauczycieli angielskich w Londynie obradowano nad koniecznością energicznej akcji w celu zmiany ustaw o szkolnictwie z r. 1918 i 1921, ograniczających prawa nauczycielek-mężatek i matek. Wychowanie, brzmi opinia zjazdu, jest przygotowaniem jednostki do *normalnego życia w rodzinie i społeczeństwie*, normalne życie zaś nie może wykluczać dla kobiety małżeństwa. Jest w największym stopniu dziwne, aby młodzież do życia przygotowywać miały właśnie te kobiety, które nie są matkami. Ciągłe eliminowanie kobiet zamężnych z nauczycielstwa i władz szkolnych jest w najwyższym stopniu szkodliwe dla przyszłości narodu. Zjazd uchwalił zwrócić się do władz o radykalną zmianę tych ustaw.

ANGIELKI LUBIĄ NAMYSŁAĆ SIĘ PRZED MAŁŻEŃSTWEM.

Oryginalne cyfry wykazała statystyka ruchu ludności w Londynie. Wynika z niej, że Anglja jest krajem, w którym wiek zamążpójścia kobiety przypada na te lata, w których dawniej uważano ją za „starą pannę”. W ciągu ostatniego kwartału ubiegłego roku na zawartych w Londynie 2996 małżeństwach, 2499 narzeczonych miało powyżej lat 30, w tej liczbie znalazły się w dużej ilości „panny młode” 40-to i 50-cio letnie, a nawet kilka, zbliżających się do sześćdziesiątki! Przyczyną tego późnego wychodzenia kobiet zamąż jest wielokrotnie wyjazd młodych ludzi na długie lata do kolonii, podczas gdy narzeczone ich pozostają w kraju, czekając na powrót swych wybranych, lub zyskanie przez nich wyższego stanowiska, umożliwiającego założenie rodziny w dalekich zakątkach imperjum.

Urywek z poematu...

Nad jej głową kinkietów rozbłysła się tęczą,
By świetniejszą się zdała jej szata pajęczą,
By aksamit policzków wzrok nęcił ku sobie...
— ŻAKA puder „LORAN” ślicznie cerę zdoła... 205

DOM ANGIELSKI

Nic nie udaje, jest tylko tem, czem być powinien i czem jest w istocie, a więc wyłącznie domem mieszkalnym, mającym służyć wygodzie rodziny, która go zamieszkuje. Nazewnątrz nie jest żadnym pałacem, ani zamczyskiem, ani pseudo monumentalnym gmachem, ale takim sobie, całkiem zwykłym domem skromnym, pełnym miłej szczeroci i prostoty, dającym, przy możliwie największej ilości wygody, ciche schronienie przed troskami dnia codziennego i miłe zacisze wśród życia rodzinnego.

Ten charakter domu angielskiego narzuca się wprost od pierwszego wejrzenia. Cała jego zewnętrzność, struktura, wymiary, rozkład, urządzenie i harmonijny zespół tych wszystkich pierwiastków i właściwości — od pierwszej chwili powiada odrazu, że tak jest w istocie, inaczej nawet byłoby nie mogło, boć przecie zadanie domu mieszkalnego polega na zaspokajaniu potrzeb codziennego zacisza w otoczeniu najbliższej rodziny. Każdy bowiem Anglik pracuje, załatwia interesy i wszelkie sprawy zawodowe w swoim office, w centrum miasta, mieszka natomiast zdaleka od gwaru miejskiego wśród ogrodów, zieleni i kwiatów, w dostosowanym do swej zamożności home.

Jakżeż inne, i na niekorzyść, są wszelkie domy mieszkalne na kontynencie, zwłaszcza te, po wielkich miastach! Wielopiętrowe gmachy, tonące w mroku i wyziewach wielkomiejskich, nazewnątrz przystrojone, jak pałace i siedziby książęce, we wnętrzu rażą tandetą, ciasnotą i inną wszelaką niedogodnością. Na szczęście, wzór Anglii zaczyna coraz silniej od lat kilkunastu oddziaływać na budowę nowych dzielnic miast kontynentalnych, które coraz częściej zamienia się już na radosne dzielnice ogrodowe, wśród sadów i ogrodów posiadające przytulne, wesołe domki, żywo przypominające angielskie wiejskie siedziby. U nas, niestety, jest w tej mierze jeszcze bardzo źle, niepomiernie gorzej, niż na zachodzie i skandynawskiej północy, tak, że wprost przepaść dzieli nasze stosunki od angielskich. Dlatego, z tem większą może ciekawością, wstąpimy w progi angielskiego home'u, nie takiego, przeznaczonego dla rodzin bardzo zamożnych, ale do zupełnie przeciętnego, mieszczącego rodzinę inteligencji zawodowej o stałych, acz niewielkich, dochodach.

Już pierwsze wrażenie odsłoni przed widzem obraz celowości, harmonji i spokoju. Nic zbytecznego, ani udanego, wszędzie natomiast prostota i szczeroci. Każdy szczegół urządzenia lub umeblowania powiada, czem jest i do jakiego służy celu praktycznego. Formy architektoniczne, wolne od wszelkiego szablonu, zdradzają celowość i praktyczność wewnętrznego rozkładu. Gdzie wykusz, tam zapewne pokój stołowy, a może i salon do przyjęć; pokoje sypialne zwrócone są obowiązkowo ku południowi i słusznie, w nich

bowiem spędza się prawie połowę życia. We wszystkim rozumna i przewidująca celowość.

Takie i tym podobne koncepcje świadczą o długiej tradycji i wielkiej kulturze, zwłaszcza, jeśli stały się udziałem szerokich warstw społecznych, a nie szczęśliwych wybrańców losu. Miara kultury, bowiem, nie są jednostki, ale masa społeczna wraz ze wszystkimi swojemi upodobaniami i możliwościami życiowemi. Im mniej nędznych lepierek, a więcej zasobnych i dostatnich domów — nie pałaców lub zamków — tem wyżej stoi kultura społeczeństwa. Pod tym względem Anglija zajmuje pierwsze miejsce. Naturalnie, że do tak kwitnącego dobrobytu nie przyszło nagle, że jest on naturalnym wynikiem pracy i bogactwa całych wieków i licznych pokoleń. Ponadto idea własnego domu miała doskonałych krzewicieli i apostołów w osobach Williama Morrisa i John Ruskina, którzy w rozlicznych pismach głosili w latach 60-tych minionego wieku konieczność odrodzenia rzemiosła i sztuki codziennego życia, a przede wszystkim celowej i rzeczowej architektury. Ten wielki ruch ogarnął potem z żywiołową siłą wszystkie kraje germańskie południowe i północne, prowadząc w dalszych konsekwencjach do zerwania z nieszczęsną modą naśladownictwa stylowego, do szukania nowych form, odpowiadających dzisiejszym potrzebom i nowym warunkom życiowym.

Na takich ideach wyrastająca architektura i kultura estetyczna nie jest rośliną, dającą się łatwo przeszczepiać na dowolną glebę, natomiast jest ona naturalnem następstwem całego szeregu warunków życiowych, dobrobytu i układu stosunków kulturalnych i ekonomicznych. W tem przejawia się najdobitniej jej naturalny związek z życiem, stąd czerpie więc ona swą siłę, piękno i celowość. Sztuki nie rodzą oderwane od życia kombinacje, lub czyste problemy: ona wyrastać zwykła z potrzeby codziennej konieczności życiowej i odpowiednio postawionej kultury. Idea własnego domu walenie przyczynia się do rozkwitu wszystkich dziedzin sztuki, a zwłaszcza stolarstwa i wytwórstwa tego wszystkiego, co ma być ozdobą mieszkania, lub indywidualną potrzebą.

Ale nie pora na teoretyczne rozważania, bo oto stoimy przed takim typowym angielskim domem. Otacza go starannie strzyżony żywopłot, utrzymany w linjach spokojnych, harmonizujących z charakterem całego otoczenia. Za nim widnieje uderzający starannością ogród kwiatowy, a z za ławic kwiatnych wznosi się spokojna sylweta domu. Budowa pozbawiona tego, co zwolennik klasycyzmu zwykł tak wysoko cenić pod nazwą symetrii, pełna natomiast jakichś miłych niespodzianek, ale tak naturalnych i prostych w swojej celowości, że całość czyni wrażenie jakiejś zabawki, w której każdy najdrobniejszy szczegół służy jasno określonej funkcji. Ze zgrupowania i rozmieszczenia okien można wnioskować o wielkości i wysokości, a nawet przeznaczeniu poszczegól-

gólnych pokoi, a oko z prawdziwą przyjemnością błądzi po niewielkich płaszczyznach ścian, przysłoniętych pnąciami roślinami. Niezwykle miłe dla oka są małe okienka, często podzielone na mniejsze jeszcze pola, zwłaszcza dla oka, przyzwyczajonego z konieczności do wielkich, pałacowych okien naszych domów mieszkalnych.

Niekiedy kilka okienek gromadzi się obok siebie w bezpośrednim sąsiedztwie, i nie to nie przeszkadza, że niema w pobliżu żadnego symetrycznego odpowiednika. Na jednej ze ścian wystrzela nagle pięknie ukształtowany wykusz, ale znowu nie gdzieś na piętrze, lecz wprost od parteru, i biegnie sobie swobodnie aż po drugie pięterko, architektura bowiem angielska nie zna pokoi wysokich, o małych natomiast rozmiarach, jak u nas, lecz lubuje się w przyjemnych proporcjach, normujących wysokość odpowiednio do długości i szerokości. Skutkiem tego pokoje angielskie są zazwyczaj stosunkowo niskie, a belkowany lub drewniany pułap często można bezmała ręką dosięgnąć, co czyni pokoje zacisznymi schronieniami dla pracującego człowieka, za którym nie błądzi echo jego samotnych kroków w ciszy nocnej.

Dach również pełen jest załomów i nierówności, a ponad nim sterczą kominy, bardzo ładnie zazwyczaj kształtowane, które nie usiłują niczego naśladować, okazując otwarcie, że są tylko zwykłymi kominami, a niczem więcej. Często taki komin wyrasta wprost od poziomu domu i biegnie sobie całkiem spokojnie po ścianie, aż wystrzeli ponad dachem; w tej wędrówce pomagają mu niekiedy pnące zieleni, oplatające go troskliwie od dołu aż po sam szczyt.

Proszę sobie teraz wyobrazić ulicę, przy której po obydwu stronach wyrastają takie, lub tym podobne domostwa, oddzielone od jezdni kwiatowymi ogródkami i zawsze zielonemi żywopłotami. Ale znowu plan ulicy odbiega od naszego typu. Nie takie beznadziejnie proste, wyciągnięte w bezduszne linje, jak żołnierze na paradzie, ale nieraz wyginające się w powolne zagięcia i łuki, tworząc miłe, zaciszne zaułki, czasem niespodziane placyki, obramione nadmiarem soczystej zieleni żywopłotów, drzew i wesołością barwami nasyconych kwiatów, przezierających figlarnie i przekornie przez załomy i przerwy obramień. Nie kiedy pomiędzy takie zaciszne uliczki zabłąka się urocze rondo, na niem przyczai się wodotrysk lub studnia, ozdobiona jakąś figurą zadumaną, i tak powstaje szereg przemiłych zakątków, z których każdy kryje w sobie jakąś miłą i nową niespodziankę. Całość nieskończenie prosta, a tak pociągająca i piękna, że aż dziw chwilami zbiera, że do prawdziwej sztuki nie raz tak mało potrzeba, rodzi ją bowiem, głęboko w duszę wkorzenione poczucie prostoty i szczerości, niechęć do wszelkiej pozy i udawania.

Nieprawdaż, u nas nieco inaczej, i pod tym i niejednym innym względem?

(d. c. n.)

Stanisław Machniewicz.

ORGANIZACJA PORADNI GOSPODARCZYCH MIEJSKICH I WIEJSKICH

Centrala gospodarstwa domowego przy szkole głównej gospodarstwa wiejskiego w Berlinie, na której czele stoi pp. Käthe Delius i dr. Marja Silberkuhl-Schulte, wystąpiła z gorącą inicjatywą stworzenia poradni ekonomji domowej zarówno w miastach, jak i po wsiach.

Centrala stwierdza ciężkie warunki społeczne, w jakich znajdują się szerokie warstwy narodu, i wyraża głębokie przekonanie, że należy je w znacznej mierze przypisać nieudolności gospodyń. Jest rzeczą charakterystyczną, że rząd i społeczeństwo wydają ogromne sumy na to, aby zwalczać niedomagania zdrowotne i moralne, natomiast mało się robi dla zahamowania źródła, z którego wypływają te niedomagania, nie dba się o wykształcenie gospodarcze kobiet, a chociaż ono jest niezbędnym przygotowaniem do prowadzenia domu, to jednak przywiązuje się do niego bardzo mało wagi.

Zdaniem Centrali, zarówno przygotowanie domowe, jak i szkolne, jest niedostateczne przy obecnych trudnościach ekonomicznych, to też staje się palącą potrzebą stworzenie uzupełnienia tego wykształcenia, pod postacią poradni. Postępy wiedzy i techniki w dziedzinie gospodarstwa domowego, wielkie wahania kosztów utrzymania i zmiany w położeniu gospodarstwa, zarówno miejskiego, jak i wiejskiego — wywołują konieczność dopasowywania pojedynczych gospodarstw do zmieniających się warunków.

Jeżeli pojedyncze gospodarstwo, zwłaszcza klasy robotniczej, która rozporządza minimum środków utrzymania, ma uczynić zadość nasuwającym się coraz nowym zadaniom, a jednocześnie nie wyczerpać fizycznych i duchowych sił pojedynczych członków rodzin — to nie można się obejść bez wskazywania i doradzania gospodyni, jak ma wybrać z trudności, gromadzących się koło niej i wyczerpujących ją do ostatecznych granic. Poradnie takie są również potrzebne, jak poradnie dla matek, dla tuberkulicznych i t. p.

Celem poradni jest więc oddziaływanie, regulowanie i racjonalizacja spożycia w każdym gospodarstwie domowym, w zastosowaniu do środków rozporządzalnych, aby móc zapewnić rodzinie maksimum zdrowia, dobrobytu i sił do wydajnej pracy.

Istnieje projekt uruchomienia poradni przy organizowanym w Warszawie Instytucie Gospodarstwa domowego.

M. K.



VII ZJAZD GOSPODYŃ WIEJSKICH

Doroczny zjazd gospodyń na Jasnej Górze określony został w tym roku mianem imponującego. I rzeczywiście był on imponujący nie tylko liczebnie (wzięły w nim bowiem udział gospodynie z najdalszych kresów Rzeczypospolitej), ale każdymu, a zwłaszcza tym, którzy po raz pierwszy byli na takim zjeździe obecni, zaimponował wysoki poziom obrad, obywatelski duch, którym przejęte były wszystkie — bardzo liczne i bardzo gorące przemówienia gospodyń, poziom ich uświadczenia i wyrobieńia.

Warto było słyszeć spokojne i skromne, ale jakże ważne słowa pani Karpowej, natchnione i gorące przemówienie p. Urbankowej, ogarniającej szerokim, jakby macierzyńskim gestem obu rąk całą Polskę; rozważne i głębokie uwagi p. Molskiej, wskazujące obowiązki przewodniczących względem młodych instruktorek, często niedoświadczonych, ale przejętych wielkim znaczeniem swej pracy i ofiarną chęcią oddania wsi tego, co umieją.

Warto było słyszeć śmiałe wystąpienie i protesty przeciwko zawieszeniu wydawnictwa „Głosu do kobiet” — organu gospodyń wiejskich — który nie tylko czytały, ale zasilają wielką liczbą artykułów, dzieląc się z innymi swymi doświadczeniami, opisywały swe radości i troski w pracy gospodarczej i społecznej.

Wiadomość o tem, że zunifikowane instytucje w Centralnem Towarzystwie Kółek i Organizacji Rolniczych wstrzymały nagle wydawnictwo ze względów oszczędnościowych, wzburzyła je do głębi i wywołała mnóstwo głosów, dowodzących, jak bliskim było dla nich to pismo.

Nie mniej liczne i silne były przemówienia w sprawie ciężkiego położenia, w jakim się znalazły matki z powodu skasowania wielkiej liczby szkółek 2—4 oddziałowych, z chwilą powstania w okolicy, odległych często o 4 — 6 wiorst, szkół 7-mio oddziałowych. Dzieci, zmuszone do wyruszania do szkoły przed świtem (pomiędzy niemi drobne — 7 — 8 letnie), nie zawsze dostatecznie ubrane, brnące przez błota, przez lodowate wody rzeczulek, zaziębiają się masowo i nie jedno życiem przyplaca zarządzeniom, które są słuszne i pożyteczne, ale tylko przy odpowiednich warunkach, i stają się możliwe tylko tam, gdzie drogi doprowadzone zostały do dobrego stanu.

Bardzo wiele głosów odzywało się w sprawie stosunku matek do szkoły i nauczycielstwa; niezmiernie zainteresowanie wzbudziła wiadomość o organizacji ośrodków zdrowia, zapewniających porady lekarskie i pomoc doraźną, której tak często wieś jest zupełnie pozbawiona.

Narady trwały trzy dni — od 9 do 11 listopada. O świcie zbierały się wszystkie uczestniczki zjazdu przed cudownym obrazem Królowej Korony Polskiej, aby uprosić Ją o siły do godnego spełniania obowiązków; potem od 9-ej rano do 8-ej wieczorem radziły, z krótką, parogodziną przerwą obiadową, a że było ich więcej, niż 2000, więc nawet wielka sala panoramy nie mogła wszystkim zapewnić miejsc do siedzenia, i przejścia zapelnione były przez stojące gospodynie, które wytrwały do końca, niezrażone zmęczeniem.

Porządek Zjazdu obejmował deklarację Zarządu, wygłoszoną przez przewodniczącą — p. Zdąnowską — stwierdzającą wielką radość z powodu połączenia się 8-miu Instytucyj rolniczych dla wspólnej pracy, tak bardzo trudnej obecnie z powodu kryzysu, który nasze rolnictwo przechodzi; ale jednocześnie w deklaracji zaakcentowana jest krzywda, która dotknęła „Wydział Kół gospodyń”, z powodu ograniczenia przedstawicielstwa gospodyń w Zarządach Okręgów i pominięcia ich we władzach zunifikowanego towarzystwa.

Skutki tego dały się odczuć już w pierwszych dniach po złączeniu, kiedy szczególnie boleśnie zostałyśmy dotknięte przez zniesienie „Głosu do kobiet”. Deklaracja rozwija dalej program działalności, poczem nastąpiło streszczenie pracy, dopełnione przez przedstawienie działalności w poszczególnych Województwach.

Nastąpiły potem powitania bardzo licznych przedstawicieli pokrewnych Instytucyj, w czasie których wielkie zainteresowanie wywołała wiadomość o „Unji gospodyń słowiańskich”, dokonanej przez „Radę naczelną gospodarczego wykształcenia Kobiety”, jednoczącą przeszło 20 organizacji społecznych, a także przemówienie p. starosty Kühna, streszczające działalność kulturalną powiatu częstochowskiego.

Powiat ten pod każdym względem wysuwa się na czoło naszych jednostek administracyjnych, dzięki znakomitej organizacji, kierowanej przez p. starostę, założył bowiem od 1921 do bieżącego roku 90 ochron, do których uczęszcza przeszło 5000 dzieci, zorganizował 48 ośrodków pracy oświatowej, gdzie prowadzone są wykłady w zimie, a praktyczne kierownictwo gospodarstw w lecie, i doprowadził drogi w powiecie do stanu wzorowego, co mieliśmy sposobność dodatnio odczuć w samej Częstochowie.

Wielkie wrażenie wywarło przemówienie p. Restorffowej: „Zadania rodziny w narodzie i państwie”, dra Szwedowskiego: „Opieka nad zdrowiem dzieci, aby zapobiec skrofuiom, krzywiczy i jaglicy”, i pp. Karczewskiej, Zabłockiej i Kaczyńskiej: „Organizacja hodowli drobiu w okręgach”. Wykłady te urozmaicone były obrazami kinematograficznymi z dziedziny hodowli kur, i opieki nad dziećmi w ośrodkach zdrowia.

Zakończenie zjazdu nastąpiło po wspólnym przystąpieniu uczestniczek do Komunii Św., poczem złożono hold mogile Nieznanego Żołnierza, a wreszcie odczytano i przyjęto następujące wnioski:

Wyrazić zadowolenie z połączenia Kół gospodyń z C. T. R. i Kółek Rolniczych w jedno Centr. Tow. Organizacji Kółek Rolniczych, jako jedynie mogące bronić interesów rolnika.

Popierać jaknajusilniej pracę oświatowo-gospodarczą wśród kobiet wiejskich, żądając w tym celu wprowadzenia przedstawicielki Kół gospodyń wiejskich do zarządu C. T. R. i wznowienia pisma „Głos do kobiet”, oraz utworzenia specjalnego wydziału Kół Gospodyń Wiejskich.

Otoczyć najgorliwszą opieką stowarzyszenia młodzieży, popierając ich prace i biorąc udział w opiekach szkolnych.

Wobec zatrważającego wzrostu gruźlicy na wsi, zwalczać energicznie tę klęskę, stosując otrzymane w Kołach wskazówki higieny i leczenia domowego, oraz zwracając się do czynników miarodajnych o uprzystępnienie pomocy lekarskiej, zakładanie ośrodków zdrowia w gminach i ułatwienie dzieciom korzystania z uzdrowisk.

Zwrócić się ponownie do władz o ułatwienie kobietom wiejskim korzystania z kursów akuszerskich.

M. K.



MOŻLIWOŚĆ HODOWLI KWIATÓW

Miedzy innymi objawami tego, że pod względem kultury nie zupełnie dorównaliśmy Zachodowi, jest i ten, iż dotąd większość u nas uważa kwiaty za przedmiot zbytku, a nie pierwszej potrzeby, jak gustowną suknię, estetyczne umeblowanie, smaczne pożywienie. Paryska midinetka, nieraz nawpół głodna, nie waha się przed kupnem bukietu fiołków do swej kilkunastofrankowej sukienki, albo gałęzi bzu do swego pokoiku w mansardzie.

A u nas spotykałam się z następującym powiedzeniem żony dyrektora ogromnego przedsiębiorstwa przemysłowego: widząc u mnie parę doniczek hiacyntów na stole Wielkanocnym, oświadczyła: „O, ja sobie nie pozwalam na takie zbytki, jak świeże kwiaty! My jesteśmy w Polsce na to za biedni, chociażby dlatego, że mamy tysiące bezrobotnych”. I nie chciała ta oszczędna niewiasta dać się przekonać, że ogrodnictwo wszelkiego rodzaju, a zatem i kwiaciarstwo, daje pracę tysiącom ludzi i że popieranie tej gałęzi wytwórczości jest nie tylko zaspoko-

jeniem potrzeby estetycznej, lecz i czynem równie patriotycznym, jak noszenie tkanin krajowych, lub używanie krajowych win i konserw.

A że potrzeby estetyczne, najbardziej nawet wygórowane, może zaspokoić kwiaciarstwo krajowe, tego świetny dowód dała wspaniała wystawa kwiatowa, skromnie nazwana pokazem, urządzona przez Towarzystwo Hodowców Kwiatów w Dolinie Szwajcarskiej w dniach od 8 do 10 listopada.

Przed wojną światową całe zapotrzebowanie kwiatów ciętych pokrywała Nizza, Grasse i inne miejscowości Jasnego Brzegu; bajeczna taniość i doskonała organizacja przesyłek uniemożliwiały wszelką konkurencję. Przez lata wojny z tych źródeł, oczywiście, nie można było korzystać; po wojnie wszelkie artykuły zbytku poddano wysokiemu oceni i wyszło to na dobre ogrodnictwu krajowemu. Dzisiaj nikt kwiatów z Nizy sprowadzać nie potrzebuje, bo przez całą naszą długą, mroźną zimę mamy ich pod dostatkiem. Dostarczają nam ich nie tylko stołeczne i podstołeczne ogrodnictwa, lecz i świetnie prowadzone zakłady w Poznańskim i na Pomorzu, oraz konkurujące z nimi pod względem bogactwa gatunków i ich odmian ogrodnictwa z Małopolski.

Pokaz zajmował tylko dwie udłe sale, lecz każdy kącik w nich był tak dokładnie wyzyskany, że starczyłoby i na olbrzymi pawilon wystawowy.

Kiedy przed laty kilkunastu oglądałam w połowie listopada wspaniałą wystawę chryzantem w Paryżu, przyczem nie tylko wewnątrz hali, lecz i przed nią, na wolnym powietrzu były olbrzymie klomby tych dekoracyjnych kwiatów — dzielił się smętnymi uwagami na temat tego, że u nas wystawy kwiatowe mogą się odbywać tylko latem, lub wczesną jesienią, bo surowy nasz klimat na inne terminy nie pozwala. A kiedy w powrotnej drodze trafiliśmy na bogatą wystawę specjalnie tylko storczyków w Berlinie, uważaliśmy to za miły uśmiech losu, gdyż u nas, poza dwoma, trzema gatunkami najbardziej znanych storczyków, innych odmian nigdzie nie spotykaliśmy.

I oto teraz, po jedenastu latach niepodległości naszej Rzeczypospolitej, oglądamy wystawę, na której chryzantemy piękną swą przewyższają wszystkie, dotąd (przezemnie, przynajmniej) widziane. Przed paru dopiero dniami zdjęto bogate klomby chryzantem, które barwnym wieńcem otaczały pomnik Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu — no i w Dolinie Szwajcarskiej oglądaliśmy poza śliczną kolekcją storczyków firmy Ulricha, półtorametrową blisko orchideę (storczyk), o trzech przepięknych kiściach blado-liljowych kwiatów, w stoisku Łańcuckim.

Żeby jednak zachować pewien kolejny porządek, zacznę od wejścia na wystawę i opiszę chociażby najwybitniejsze stoiska i również najwybitniejsze okazy wystawowe, stanowiące specjalności każ-

dej firmy. Pierwszy jest jakby dywan z różnych jesiennych kwiatów, firmy Gadowskich; dominują w nim cyklameny, robiące wrażenie roju barwnych motyli, spadłych na zieloną łąkę. Zwraca też uwagę olbrzymi bukiet różnokolorowych goździków — rzadkich tak późną jesienią. Goździki są jedynym prawie kwiatem wonnym na wystawie — kwiaty jesiennie przeważnie pozbawione są zapachu.

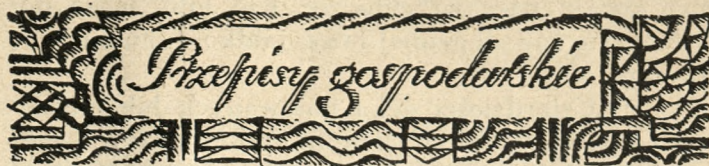
Drugą, większą część sali zajęły bogate kolekcje zasłużonej, stołecznej firmy Ulrich. Po bokach wysokie, niemal sufitu sięgające, palmy, przeważnie „kentje”; pod nimi zwarte szeregi różnobarwnych i różnokształtnych, wielkokwiatowych chryzantem. Środek formuje barwny dywan, którego centrum stanowi olbrzymia paproć „Nephrolepis”, narożniki — całe półka cyklamenów, a tło do innych kwiatów — delikatne, koronkowe, karłowate „Phoenixy”.

W drugiej sali naprawo toruńska firma Hentschla wystawia nowe gatunki begonij drobnokwiatowych — niesłusznie w tym wypadku tak nazwanych, gdyż kwiaty mają nie tylko spore, lecz i tak obfite, że liści pod nimi wcale nie widać. Niezwykle bogactwo barw — od soczystej, różowej, poprzez różne odcienie łososiowe, do najwspanialszego karminu i szkarłatu. Towarzyszy mu duża kolekcja tłściozyszy „Echeverji”. W tejże sali, w stoisku Łańcuckiem, bukiety rzadkich w listopadzie róż herbatnich i niezwykle piękny okaz chryzantemy o płatkach rdzawych i pysznie purpurowych, no, i ten storczyk olbrzymi, o kwiatach tak pięknych i delikatnych — że nie wyglądają, jak naturalne. Dziwna, co prawda, pochwała — ale jest to porównanie, które się stale naprasza. O kwiecie sztucznym mówimy, że jest tak piękny, jakby był naturalny — no, i odwrotnie. I jeszcze piękne goździki, pierzaste, różowe, i znów cyklameny i chryzantemy.

Niestety, nie zanotowałam wszystkich firm wystawiających. Zapamiętałam jeszcze długi szereg chryzantem drobnokwiatowych, o ogromnej skali odmian i barw. Te drobnokwiatowe chryzantemy — to najcenniejszy jesienny materiał bukietowy i najtrwalszy z kwiatów gruntowych; mają więc one ogromną wartość dekoracyjną i na szczególniejszą zasługują uwagę.

Nakoniec w samym rogu sali rozsiadły się tak modne obecnie kaktusy — bez nich współczesny pokaz kwiatów nie byłby kompletny. Kolczaste i włochate potworki, od najmniejszych, rozmiaru guziczka, do największych, jednak nie większych od sporego, pękatego ogórka — wszystkie są modne, więc admiirowane, i nie wolno o nich powiedzieć, że właściwie są bardzo szpetne.

Pani Elżbieta.



SURÓWKI SAŁATOWE.

Do takich surówek można podawać kartofle pieczone w łupinach, lub bez łupin, albo też kartofle gotowane w mundurach. Kartofli gotowanych, obieranych, często używać nie należy, gdyż są one pozbawione witamin (życianów), mieszczących się bezpośrednio pod łupiną. W skład tych surówek też nie raz wchodzi kartofle bądź gotowane, bądź pieczone, gdyż nawet ideowcy, najdalej idący w szerzeniu pokarmów niegotowanych, nie zalecają spożywania kartofli w stanie surowym; przeciwnie, zaznaczają, że jest to prawie jedyna jarzyna, której spożycie na surowo mogłoby wywołać poważne zaburzenia żołądkowe.

a) Czterdzieści deka marchwi — najlepiej karotki, czyli marchwi prawie bez żółtego rdzenia i tępo zakończonej — oskrobać, opłókać i zestrugać na grubej tarce do buraków. Skropić sokiem, wyciśniętym z pół cytryny, wymieszać dobrze, aby marchew nie straciła koloru. Sporą hiszpańską lub cukrową cebulę utrzeć na tarce, dodać do marchwi. Nakoniec utrzeć dwie łyżki chrzanu, osolić, dobrze pocukrzyć, skropić niezbyt mocnym octem, potrzymać na talerzu godzin parę, aby chrzan zbytnią ostrość stracił. Zmieszać chrzan z zaprawioną marchwią, spróbować, czy ma dosyć soli, i wynieść na parę godzin przed podaniem na chłód. Podając, polać obficie dobrą oliwą i jeszcze raz wymieszać.

b) Czterdzieści deka białej lub czarnej rzodkwi oczyścić z łupin, zestrugać na tarce do buraków i uszatковать na deseczce do ogórków. Osolić i odstawić na godzin parę. Z białej rzodkwi przyrządzona sałata będzie w smaku łagodniejsza, z czarnej — znacznie ostrzejsza. Czterdzieści deka kartofli, ugotowanych w łupinach, obrać, dopóki gorące, ostudzić, pokrajać w cieniućne paski. Sporą cebulę utrzeć na tarce, zmieszać z rzodkwią i kartoflami. Zaprawić wszystko obficie oliwą i niedużą ilością octu, lub soku cytrynowego, osolić do smaku, potrzy-

Oda do pazurków.

Paznokietki różowe, rąk białych ozdobę,
Skąd siła uroku w was taka?

— Wiadomością najchętniej podzielim się z Tobą:
To emalja „MIAFLOR” od Żaka...

mać godzin parę na chłodzie. Kto lubi, może dodać zestrugane na grubej tarce jabłko — antonówkę lub renetę.

c) Czterdzieści deka gotowanych lub pieczonych kartofli, obranych z łupin i pokrajanych w cienkie płatki, spory seler surowy, obrany, oplókanym i zestrugany jaknajcieniej, tylko białe części dwóch porów, pokrajane w krążki tak cienkie, jak papier, dwa jabłka kwaskowe (antonówki lub renety), wszystko to wymieszać razem i połączyć sosem, uformowanym z trzech łyżek oliwy, łyżki octu, łyżki musztardy, łyżki cukru i odrobiny białego pieprzu. Osolić salatek do smaku, dokładnie wymieszać, potrzymać przed podaniem przez parę godzin na chłodzie.

SZTUFADA (na żądanie czytelniczki).

Jest to chyba najbardziej rozpowszechniona forma przyrządzania pieczeni wołowej, przytem bardzo stara. Przywiozła sposób jej przyrządzania z Włoch zapewne królowa Bona, gdyż włoskie „stufatto” w niczem absolutnie się nie różni od polskiej siostry.

Otóż, chcąc mieć prawdziwie smaczną sztufadę, należy ją na dwa dni przed użyciem zamarynować w lekkim occie, przegotowanym z korzeniami: pieprzem, zielem, listkiem, paru goździkami. Na sztufadę bierzemy ładny, niezbyt cienki i długi kawał pieczeni zrazowej lub krzyżowej, może być nawet krzyżowa od ogona, z kwiatkiem. Wobec tego, że sztufada wymaga nieco zachodu przy przyrządzaniu, nie warto jej robić w małej ilości. Bierzemy więc conajmniej 2 — 3 kilo mięsa bez kości. Zimna ta pieczeń jest równie smaczna, jak gorąca, i może zastąpić najlepsze wędliny lub galantyny.

Po wyjęciu z octu, mięso mocno zbić, obetrzeć dokładnie ściereczką (inaczej ładnie się nie zrumieni), naszpikować gęsto słoniną, osolić, trochę popieprzyć i włożyć w rondel na mocno zrumienione masło. Zrumienić ze wszystkich stron w bardzo niedużej ilości masła, poczem włożyć do rondla: pokrajane w cienkie paski marchewkę, buraczek, dwie cebule, por, kawałek selera, spory grzybek, pokrajaną w pa-

ski wędzoną słoninę lub boczek, spory kawałek skórki ze słoniny. Dusić na wolnym ogniu, często przewracając i podlewając octem z marynaty. Włożyć cztery pomidory, lub tyleż łyżek konserwy, dusić wolno dalej.

Gdy mięso zupełnie zmięknie, co można poznać, próbując widelcem, wyjąć je na półmisek. Sos zaprawić łyżką maki, lub jeszcze lepiej paru łyżkami utartego żytniego chleba, zagotować raz jeszcze i przetrzeć przez druszlak. Pokrajać taką tylko część sztofady, jaką mamy zamiar tego dnia użyć, ułożyć na półmisku, obłożyć ugotowanym makaronem włoskim (nie powinien być przegotowany, gdyż jest mniej smaczny), połączyć sosem mięso i makaron i gorące podawać.

Resztę sztofady możemy pozostawić w całym kawałku do krajania, lub też pokrajać ją w cienkie plastry, ułożyć na półmisku. Część sosu rozprawać paru szklankami rosółu, lub wody z kostką buljonową, zaprawić żelatyną (rozmoczoną w pierw w zimnej wodzie), biorąc jej dwa listki zimną, trzy — latem, na każdą szklankę płynu. Połączyć tą galaretą mięso i wynieść na chłód. Podawać z oliwą i octem, lub też z sosem majonezowym. W smaku może rywalizować z sarniną.

Pani Elżbieta.

KURS OGRODNICTWA.

Zwyczajem dorocznym Koło Miłośników Ogródnictwa rozpoczyna w drugiej połowie listopada r. b. Kurs Ogródnictwa. Wykłady będą się odbywały 3 razy tygodniowo od godz. 6 — 8 wiecz.

Kurs będzie podzielony na 4 cykle:

Cykl I. Gleba, uprawa, nawożenie. Nasiennictwo.

Cykl II. Warzywnictwo. Hodowla pieczarek.

Cykl III. Sadownictwo i owocarstwo. Przetwórstwo. Pielegnowanie ogródków.

Cykl IV. Kwaciarstwo gruntowe. Szkodniki i choroby roślin.

Informacje i zapisy: p. Zielińska — Al. Jerozolimskie 45 m. 1 — tel. 52-55 oraz Inspektorka Kursu p. Wysocka — tel. 140-18, ul. Krzyckiego 11, m. 52.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr. rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

Laski pełne i potępione (w odpowiedzi p. Zofji Miszewskiej).

Sympatyczna autorka „Pokutujących Magda-len“, jest dobra i litościwa, tak, jak są litościwe osoby, które same nie przeżyły biedy i nieszczęścia. Tem lepiej dla tych szczęśliwych, ale biada tym, nad którymi one się litują.

Skończmy już raz z tym niegodnym sposobem, z poniżaniem człowieka pod pretekstem, że mu chcemy dobrze czynić. Matka nieślubna nie jest bynajmniej istotą, godną litości, tylko godnem potępienia jest społeczeństwo, godni pogardy są ludzie, którzy jej nie szanują.

Czemże różni się jej macierzyństwo od macierzyństwa kobiet, otaczanych czcią, miłością rodziny, kobiet, którym gratulują pięknego synka lub córeczki rzesze przyjaciół, którym mąż, dumny i szczęśliwy, przynosi wzamian za potomka kwiaty i klejnoty? Jakaż różnica?

Od początku do końca było to samo. Matka uprzywilejowana i matka potępiona tak samo poczęła, tak samo cierpiała, rodząc. Obie pragną, by dziecie było zdrowe, ładne, szczęśliwe w przyszłości...

Tylko jedna, jedna z nich była przewidująca i roztropna: myślała o przepisach prawa kościelnego i cywilnego, o utartej opinii, o zabezpieczeniu sobie bytu materialnego, o związaniu mężczyzny węzłami takiego obowiązku, by nie śmiał się odeń uchylić.

A ta druga niczego nie przewidywała, nie obrachowała swych przyszłych strat i korzyści, bez zastawu i gwarancji poszła za uczuciem, czy instynktem, tak, była lekkomyślna, ale była bezinteresowna. Zostawiła mężczyźnie wolność, bo sama czuła się wolnym człowiekiem.

No, mężczyzna zawiódł, tak, jak zawodzi i w małżeństwie, gdy mu to jest wygodne. Ale po małżonku niewiernym, czy rozwiedzionym, czy zmarłym, pozostaje zabezpieczenie materialne, pensja, majątek, dziedzictwo dla dzieci; po ojcu, który nie przyznaje się do swego dziecka, niema nic, prócz wspomnienia i ewentualności ścigania go sądownie o alimenty.

(Czego nie wszystkie kobiety sobie życzą, a bardzo wiele wogóle nie wie, że im takie prawo przysługuje).

W samym najistotniejszym sednie sprawy, u dna konfliktu ślubnego dziecka z nieślubnem, leży tylko jedna rzecz: majątek i prawo do spadku. Broni się przed niem reszta rodziny.

Powie ktoś, nazwisko ojca. Dziś to już tylko etykieta, której przywilejem jest właśnie owo prawo do majątku i dziedziczenia. Nazwisko bez tych upraw-

nień może być tylko kwestją mniej lub więcej pięknego brzmienia, kwestją próżności towarzyskiej.

Każdy z nas zna rozwlekłe powieści o rodach arystokratycznych i królewskich, w których na tle niepożądanych pretensyj potomków z „nieprawego łoża“ do sukcesji wynikają tragiczne perypetje między braćmi i siostrami. Zresztą są to fakty historyczne, a napotykamy je zwykle we wszystkich warstwach społecznych, czy chodzi o tron, o stosy klejnotów i majątki, czy o chatę i pół morgi gruntu...

Odwróćmy kwestję: gdyby nie chodziło o majątek, o sprawy materialne, o prawo dziedziczenia, czy komukolwiek przeszkadzałoby istnienie dzieci i matek nieślubnych? Czyjej zachłanności byłoby nie na rękę?

Skończmy więc już raz z pojęciem „grzesznego“ macierzyństwa! Z pokutą za nie, z ekspjacją! To moralność społeczna? Kobieta daje społeczeństwu nową jednostkę i za to, za to samo, jedną obrzuca się błotem, a drugą się apoteozuje? Albo wszystkie matki są bezwstydnymi grzesznicami, albo żadna! Niema dwu sposobów dawania życia dzieciom.

Czytałam raz artykuł, napisany przez kobietę z doktorskim tytułem; pani owa twierdziła, że dzieci, zrodzone z legalnego małżeństwa, są chlubą i szczęściem matki, są błogosławione od Boga, natomiast dziecko „nieprawe“ jest hańbą, karą dla matki i ściąga na siebie i na nią gniew Boży.

Gdy to przeczytałam, zdawało mi się, że zostałam spoliczkowana, ja i wszystkie kobiety, albo, że autorka była jakimś nieprawdopodobnem monstrum. Nie przeczytała też widocznie najzwyczajniejszej biblijki szkolnej, bo wiedziałaby że Chrystus przywołał do siebie kobiety z dziećmi (o ojców wcale się nie pytał, ani zatroszczył) i brał na ręce dziatki, nie rozróżniając, czy „prawe“ czy „nieprawe“.

Kochana autorko „Magda-len“, bo my się przecież znamy, pani nie przeżyła i może nigdy tego nie przeżyje, pani sobie nie wyobraża nawet, ile obrażonej godności ludzkiej walczy w kobiecie z wspaniałą dumą kobiecą, budzącą się w poczuciu macierzyństwa, gdy ją skazują na „hańbę“ nieślubnego macierzyństwa. Ile załamań, ile tragedij!

Bardzo Pani chwali to, co robi instytucja „Ratujmy Niemowlęta“. Owszem, to jest potrzebne, ale to nie wystarczy do „rozwiązania jako-tako problemu nieślubnych dzieci“, jak to się Pani zdaje.

To tylko plasterki na otwarte rany społeczne.

Trzeba zrobić znacznie więcej i głębiej sięgnąć. Nie bać się przewrotu w pojęciach, ale odważyć się na sprawiedliwość. Są już pod tym względem projekty konkretne w szeregu krajów, są i w Polsce. We

Francji, wbrew kodeksowi Napoleona i zakazowi poszukiwania ojcostwa, życie samo w praktyce równo-uprawnia dzieci bez względu na formę związku rodziców.

Może jeszcze kiedyś o tem pomówimy.

Narazie tylko ogólnie postawmy zasadę, że każde dziecko, istota, niewinna swemu pochodzeniu, istota, budząca się do życia i mająca wszelkie prawa do rozwoju, że każde dziecko jest równowartościowe, tak jak każde macierzyństwo jest równowartościowe i ma prawo do szacunku obywateli oraz do pomocy społeczeństwa.

Gdy to poczucie przeniknie jaknajszerszej, to znajdują się nie tylko sposoby na niesumiennych ojców, ale ci ojcowie sami się znajdują... Zmienia się krzywdzące paragrafy ustaw.

Nie ludźmy się, że to się zaraz zrobi: egoizm, dziki, zachłanny egoizm, niekczemność ludzka jeszcze są zbyt wielkie. Ale zacznijmy je łamać.

Jeszcze nieśmiała uwaga pod adresem autorki „Magdalen” której dziękuję, że dała mi sposobność odezwania się o tej sprawie, tak dla mnie niewątpliwej, że wydaje mi się dziwnem kogokolwiek o niej przekonywać. Wiadomo, jakie były dzieje Magdaleny, zanim rozpoczęła pokutę. I że nigdy, jak twierdzi Pismo, matką nie była. Bo wówczas niezawodnie sam Jezus nie miałby jej wiele do przebaczenia.

Jadwiga Kramczyńska — Warszawa.

„Jeszcze o pracy społecznej słów kilka” (z powodu artykułu p. Janiny Strzeleckiej).

W swym artykule poruszyła p. J. S. wielką i ważną bolączkę naszą, oświeciła jaskrawo odwrotną stronę medalu pracy niektórych pań, biegających z posiedzenia na posiedzenie, a zaniedbujących swe zajęcia domowe i dzieci... ale nawet nie przypuszczała Szan. autorka, że jej artykuł wywarł na prawdziwie pracujących kobietach przykre wrażenie, a dał w rękę wiele atutów przeciwnikom wszelkiej pracy społecznej.

Myli się p. Strzelecka, utożsamiając pracę społeczną z tą „zatrważającą ilością świąt, uroczystości, akademji i t. d....” to naturalnie minie, albo i nie minie, mniejsza o to.

Praca społeczna u nas polega na czem innem, musi wspierać naszą młodą państwowość tam, gdzie rząd jeszcze nie może przyjść z radą i pomocą. Mamy tysiące żłobków, przytułków, szpitali, schronisk, zakładów dobroczynnych, mamy całe falangi nędzy, sieroctwa, opuszczenia, wszystko to tylko praca społeczeństwa wspiera, utrzymuje, opatruje. Dalej, mamy choroby społeczne, choćby walkę z gruźlicą, która też na społeczeństwa pomocy polega. Dalej, mamy całą oświatę pozaszkolną w takich towarzystwach, jak Tow. Szkoły Ludowej, Macierz Szkolna, Czytelnie ludowe.

Dalej, opiekę nad harcerstwem (Koła Przyjaciół harcerzy), nad żołnierzem (Czerwony i Biały Krzyż), nad obroną powietrzną państwa, nad flotą narodową i tak dalej i dalej.

Wiele, bardzo wiele się robi, jeszcze więcej jest do roboty, a *przemaźnie wszystka praca społeczna leży na barkach nas, kobiet*, bo że tam przewodniczy zwykle mężczyzna, dla swej rutyny, stanowiska czy stosunków, to jednak gros pracy wypełniają owe „nie utytułowane, szare jednostki”, które pracują nie dla laurów, ale dla idei.

Słusznie zauważyła Sz. autorka, że mało jest pracowniczek, że wszędzie się spotyka jedne i te same jednostki, że na ich barki wali się moc obowiązków, którym często nie mogą poddać, dla których muszą nieraz zaniedbać dom, a może i swoje własne dzieci.

Prawda, ale gdzie szukać przyczyny?

Przyczyna leży w tem, że zamiast przyuczać nasze kobiety do pracy społecznej, zamiast wpajać przekonanie, że *każda bez wyjątku powinna choć godzinę tygodniowo poświęcić pracy społecznej*, pokazuje się im odwrotną stronę medalu, próżne gadaniny niektórych komitetów, paniusie, biegające z posiedzenia na posiedzenie i t. d....

Istnieje w naszych duszach silnie zakorzeniony egoizm społeczny, czy rodzinny, który twierdzi, że kobieta, mająca dom, męża, dzieci, już spełnia doskonale swe obowiązki społeczne, tem samem, że jest dobrą matką, żoną, gospodynią, nauczycielką i t. d.

Nieprawda! jeśli jej za złe nikt nie bierze odpoczynku, spaceru, przyjemności, jeżeli nawet matkę chorego dziecka namawia się na spacer, to dlaczego za złe mamy kobietom, gdy te chwile swego spoczynku czy przyjemności poświęcają obowiązkom obywatelskim i pracy społecznej? Nauczmy każdą kobietę, bez wyjątku, pracować społecznie, i to właśnie bezinteresownie, bo praca zapłacona, to zupełnie co innego, a wtedy nie będziemy musiały pisać o „odwrotnej stronie medalu”, a raczej wtedy dopiero będzie można pisać o tem, nie gasząc zapалу i nie dając atutów przeciwnikom pracy społecznej.

M. Mossoczowa — Kraków.

Jubileusz Jadwigi Michałowskiej.

W październiku r. b. odbył się w Siedlcach zjazd wychowanek dawnej szkoły handlowej (przekształconej w r. 1919 na gimnazjum im. Królowej Jadwigi) z okazji 25-lecia istnienia szkoły, oraz w celu uczczenia 25-letniej pracy pedagogicznej Jadwigi Barszczewskiej-Michałowskiej, założycielki i długoletniej kierowniczką tej uczelni.

Uroczysty zjazd, który zgromadził przeszło 100 przybyłych z różnych stron Polski dawnych wychowanek, przedstawicieli władz szkolnych, młodzieży i nauczycielstwa, był skromnym, acz miłym sposobem uczczenia zasług, oddanych szkolnictwu polskiemu przez Jubilatkę.

Zasługi te są duże. Czwierćwiecze właśnie minęło, gdy jako młodzianka, 19 lat licząca panienka, stanęła do pracy oświatowej w Siedlcach, gdzie założyła średnią szkołę handlową.

Wykształcona, pełna pogody i entuzjazmu, obdarzona niezwykłym darem pedagogicznym, mło-



Jadwiga Barszczewska-Michałowska.

dziutka przełożona umiała stworzyć takie warunki, że szkoła do przeciętnych nie należała. Duży nacisk kładła na wychowanie. Wpajała w serca uczennic najszczytniejsze ideały, zaszczepiała hasła „prawdą i pracą”, które popierała czynem. Dzięki niezwykle umiejętnemu postępowaniu, zdobywała serca uczennic, zrozumienie było wzajemne, a entuzjazm przełożonej udzielał się wychowankom. Interesowały ją nowe drogi wychowania i nauczania, nowe metody, które wprowadzała do szkoły, a które dawały dodatnie wyniki, dzięki pracowitym i zapalonym współpracownikom, których umiała p. Michałowska sobie dobrać.

Słusznie zaznaczyła w swym przemówieniu na zjeździe jedna z wychowanek, obecnie dyrektorka gimnazjum w Zamościu, iż przełożona miała dar intuicji, który pozwalał jej czasy wyprzedzać; to więc, co dzisiaj nieraz w pedagogice lub metodyce uważane jest za konieczność lub nowość, w jej szkole było już znane i wypróbowane.

W r. 1910 — 11 szkoła była już 8-klasową, jedną z bardzo nielicznych 8-klasówek w ówczesnym Królestwie Polskim.

Rok 1914, a później 15-ty zachwiały losem szkoły. Z początku zajęcie lokalu przez wojska rosyjskie utrudniło niezmiernie pracę, później zaś przebieg wojny i związane z nim wyjazdy do Rosji pozbawiły szkołę 127 uczennic. Wówczas przełożona musiała zadać pytanie współpracownikom, czy w tych warunkach można będzie szkołę utrzymać. Odpowiedziano twierdząco i oto ofiarną pracą uchroniono szkołę od zagłady. Okres okupacji niemieckiej, choć ciężki pod względem materialnym, dawał swobodę w przeprowadzaniu reform.

W r. 1919 szkołę realną, dobrze postawioną i liczną, bo mającą 430 uczennic, przejęło państwo i przekształciło ją na gimnazjum. W r. 1920 Jadwiga Michałowska opuściła Siedlce, została bowiem miano-

waną dyrektorką gimnazjum im. Marji Konopnickiej w Warszawie. Z niesłabnącym zapalem oddała się pracy w nowej uczelni, którą prowadziła przez szereg lat, obejmując wreszcie stanowisko generalnej wizytatorki średnich szkół żeńskich przy Min. W. R. i O. P.

Duży jest już zastęp kobiet, które Jadwiga Michałowska przygotowała do życia. Wszystkie mają w niej szczerą przyjaźniółkę, nie przerywa bowiem ze swymi wychowankami kontaktu, pamięta o nich, zawsze służy radą, pomocą, zachętą.

Stanowisko, które obecnie zajmuje, a które znacznie rozszerzyło teren jej działania, daje możliwość wyzyskania zalet charakteru, zdolności i wiedzy pedagogicznej dla dobra szkolnictwa polskiego. Wielkie znaczenie ma to, że jej młodzieńcza wiara i entuzjazm udziela się wszystkim, którzy z nią obcuje.

Dla młodego pokolenia Jadwiga Michałowska będzie zawsze wzorem pracowitości i poświęcenia dla ukochanej idei. *Helena Ryszkowska — Siedlce.*

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie sprawunki załatwiam sama.
2. Kupuję u stałych dostawców, w dużych sklepach, doszłam bowiem do przekonania, że im mniejszy sklepik, tem gorsze: towar i obsługa.
3. Zadowolniam się towarami krajowymi i uważam, iż w nich nie ustępuję zagranicznym. Wyjątek stanowią lekarstwa, przynajmniej niektóre, wydaje mi się, iż są lepsze zagraniczne.
4. Brak u nas wielu na miejscu hodowanych jarzyn. Sprowadzane są, zwłaszcza na wiosnę, inspektowe z Warszawy, co ogromnie podwyższa cenę. Brak również ładnego mięsa wołowego i cielęcego.
5. Staram się wyjaśniać przyczyny, np. brak jarzyn spowodowany jest niedostatecznym rozwojem ogrodnictwa, co jest w związku z niskim stosunkowo stanem kultury okolicznych wiosek. Brak mięsa wyborowego tłumaczyć należy tem, iż handel niem znajduje się prawie wyłącznie w rękach żydowskich. Część więc mięsa najlepszego przeznaczają kupcy na „koszer” i to jest dla chrześcijan niedostępne, chyba że za wygórowaną cenę, część zaś wysyłają hurtowo do Warszawy, gdzie ceny są znacznie wyższe.
6. Jestem w zupełności zadowolona. Uważam jedynie za ujemną stronę to, że nie można nabywać niektórych przedmiotów, np. mięsa, w małej ilości. Przy kupnie pół klg. dostaje się najgorszy kawałek, mniej-szej zaś ilości nie sprzedadzą wcale.
7. Z ogłoszeń nie korzystam wcale, straciłam do nich całkowicie zaufanie, zostałam bowiem niejednokrotnie „naciągnięta”. Najczęściej o nowych sklepach dowiaduję się przez znajomych.
8. Specjalnych życzeń nie mam.
9. Przyjeżdżam do Warszawy po towary łocio-we, galanterję, ubranie, naczynia, drobne sprzączki i t. p., gdyż jest większy wybór i są tańsze.

H. R. — Siedlce.

1. Żałatwiam sama wszystkie sprawunki, wyręcając się tylko wtedy, gdy jestem bardzo zajęta, przy zakupie bardzo małej ilości towaru.

2. Staram się kupować u stałych dostawców, oglądam wystawy, porównując ceny innych sklepów. Ogłoszenia informują mnie o terminach nadejścia towarów.

3. Żądam wszędzie i kupuję stale wyroby krajowe, bo są tańsze i większość z nich nie ustępuje w niczem zagranicznemu.

4. Mieszkając w małym, kresowym miasteczku, zauważyłam czasowe i stałe braki pewnych towarów, które można było dostać w mniejszych i bardziej oddległych od kolei miasteczkach Polski środkowej, lub też Kresów zachodnich¹⁾.

5. Zwracam stale uwagę kupcom na zauważone, choćby najmniejsze, braki towaru. Kupiec zwykle wysłuchuje i zgłasza pretensje do pierwoźródła.

6. Miary i wagi stale pilnuję, gdyż obsługa sklepu jest stale roztargniona.

7. Przy zakupie większych przedmiotów kieruję się też ogłoszeniami, lecz tylko po zebraniu dokładnych informacji u znajomych, zasięgam opinii u jakiegoś dobrze prowadzonego przedsiębiorstwa, lub zwiedzam kilka firm i zostaję klientką jednej z nich.

8. Chciałabym bardzo w „Bluszczu“ czytać ogłoszenia z podanymi cenami, gdzie można kupić przedmioty, przeznaczone do uproszczenia życia. Wielu z nich nie mam, właśnie dlatego, że nie wiem, gdzie je nabyć można.

9. Przyjeżdżam do większego miasta po kapelusz, płaszcz, kostjum, dywan i wszystkie większe przedmioty.

10. Chętniej kupuję w sklepach z kobiecą obsługą, unikam sklepów z obsługą męską wyłącznie, dlatego, że kobieta jest zawsze uprzejmiejsza i wykazuje większą znajomość potrzeb kupującego.

Anna Karpińska — Białowieża.

1. Zakupy dla kuchni robię sama lub służąca, wszystkie inne sama.

2. Mieszkając w małym mieście, kupuję stale w jednych sklepach, stosownie do tego, w których potrzebny materiał jest lepszy i tańszy.

3. Kupuję rzeczy krajowe i zagraniczne. Z tych ostatnich: rękawiczki, pończochy i swetry, jako znacznie lepsze od krajowych²⁾.

4. W Gorlicach (w przeciwieństwie do Krakowa) i w innym małym mieście, gdzie mieszkałam przedtem, zauważyłam prawie stale, brak dobrego cukru-kryształu. Cukier jest drobny, brudny, żółtawy i mało słodki.

5. Interpelując kiedyś „Składnicę Kółek rolniczych“ o jakość cukru, otrzymałam odpowiedź, że Zarząd nie jest temu winien, bo będąc zależny od Ministerstwa Handlu i Przemysłu, musi brać taki cukier, jaki przydzieli. Sprowadzają wagonowo i dzielą się z innymi kupcami. U żydowskich kupców często dostanie się cukier lepszy. Owoce np. winogrona i śliw-

¹⁾ Może Sz. Korespondentka zechce wymienić, jakie mia-
nowicie? *Przyp. Red.*

²⁾ Czy to możliwe, Łaskawa Pani? *Przyp. Red.*

ki, są nieproporcjonalnie drogie, w stosunku do cen w Krakowie i opłaty pocztowej, lub kolejowej.

6. W Gorlicach nie potrzebuję kredytu. Czyniąc większe zakupy w Krakowie lub w Tarnowie — łatwo uzyskać kredyt.

7. ———

8. ———

9. Do Krakowa lub Tarnowa jadę po materiały na suknie, płaszcze, meble, bieliznę, buciki, kapelusze.

10. Stanowczo musimy w sklepach żądać towarów krajowych. Wystawa przekonała nas, że wszystko dałoby się u nas kupić krajowe, gdyby nie kupcy, którzy wolą sprowadzać z zagranicy, albo też krajowe towary sprzedają jako zagraniczne.

Zofja Berszakiemiczowa — Gorlice.

Dla naszej starości (w odpowiedzi na artykuł p. Prażmowskiej).

Jaknajbardziej solidaryzuję się z projektem, powziętym przez panią Prażmowską w sprawie „Ognisk Emerytalnych“. Po zatwierdzeniu ustawy, najuprzejmiej proszę o przysłanie mi jej.

L. Litwińska — Wielka Kłonia, pow. tucholski, Pomorze.

Na raty czy za gotówkę?

Doskonale zrobiła redakcja „Bluszczu“, ogłaszając w „Mównicy“ ankietę gospodarczą; na wiele rzeczy zwróciła ona naszą uwagę, dopomogła do zorganizowania się w technice zakupów. Zanim odpowiem na nią wyczerpująco, chciałabym przesłać do niej uzupełnienie. Tyle się mówi o zaletach i wadach kupowania na raty. Dobrzeby było, abyśmy, kobiety, dążące od racjonalnego organizowania naszych zakupów, rozstrzygnęły tę sprawę. W ankiecie jest tylko wzmianka o udzielaniu kredytu, ale to za mało. W Ameryce wszyscy wszystko kupują na raty, u nas ten system ma gorących zwolenników i przeciwników zaciętych. Jak lepiej? Niech się Sz. Czytelniczki wypowiedzą.

Marja Bardzka — Wola Kluszcowa, Małopolska.

Czytając prawie w każdym numerze „Bluszczu“ o ciężkim bycie kobiet, chcielibyśmy choć jednej cokolwiek ulżyć i przy pracy zabezpieczyć jej byt. Jest nas dwoje, pragnących jaknajmniej wiedzieć o kłopotach domowych, więc jeżeliby się znalazła osoba, umiejąca dobrze i czysto gotować, oraz rozumiejąca i lubiąca porządek, to możebyśmy doszli do porozumienia. Zaznaczam, że umiejętność gotowania winna być faktyczną, jak również znajomość pieczenia i zamiłowanie do porządku. Do sprzątania jest sklep, 3 pokoje i kuchnia. W prowadzeniu domu pozostawia się osobie, reflektującej na to miejsce, jaknajdalej idącą samodzielność, oraz opiekę nad domem podczas naszych wyjazdów. Tego, czego pragniemy, szukaliśmy w szkołach zawodowych, lecz szkoły te wydają świadectwa z ukończenia kursu uczennicom, nie myśląc o tem, czy rzeczywiście umieją one gotować. Jedna z nich, posiadająca świadectwo, twierdziła, że śledzia na salatkę należy oplókać, pokrajać, popieprzyć, *posolić* i t. p. Jeżeliby się znalazła kobieta, reflektująca na pracę, jaką ofiarujemy, prosimy o złożenie oferty w „Mównicy“. Do robót cięższych mamy zawsze pomoc.

A. Lenkiemiczowa — Warla.